

Ja i wojna.

Może to śmieszny tytuł: „Ja i wojna”, ale zabierając się do spisania tych wspomnień, chciałam przedstawić swoje osobiste odczucia i dzieje mojej najbliższej rodziny w czasie wojny i po jej ukończeniu. Skład mojej najbliższej rodziny: ja miałam w 39 r. 32 lata. Tulu (mój mąż) 36 lat. Matka męża (Babcia) 70 lat, najstarsza córka Lila 6 lat, syn Otuś 2 lata, Ania urodziła się 11-X-1939 r. Była też dziewczyna – pomoc domowa – Hela. Mieszkaliśmy wtedy w Krzemieńcu na ulicy Objazdowej. Tulu był nauczycielem w Liceum im. T. Czackiego w Krzemieńcu i kierownikiem działu przyrodniczego w „Muzeum Ziemi Krzemienieckiej” Ja wtedy nie uczyłam.

W maju w 1939 r. zachorowały dzieci na szkarlatynę — właściwie nie ma niby związku z wojną a jednak. Dzieci ciężko chorowały, a szczególnie Oluś, i wtedy uczyniłam postanowienie, że jeśli dzieci wyzdrowieją, to oddam do kościoła to co mam najcenniejszego — nasze obrączki ślubne. Wybuchła wojna — rząd ogłosił apel o zasilanie skarbu narodowego, więc złożyliśmy w darze te nasze obrączki. Nieraz rozmawialiśmy o tym, że pewnie ktoś je zabrał i uciekł (tysiące ludzi uciekało) za granicę, ale w głębi serca nie żałowałam i nie żałuję tego kroku. Moje dzieci i Polska to jedno. Pamiętam jak nie odstępowaliśmy od głośnika, gdy Niemcy zajmowali Czechosłowację, gdy spiker żegnał się ze słuchaczami, gdy ostatni raz zagrano hymn czechosłowacki. Płakałam wtedy i zaczęłam sobie zdawać sprawę ze zgrozy zbliżającej się i do nas, do Polski.

1-IX 39 r. ogłoszono mobilizację. Nie będę tutaj wymieniała dokładnych dat, tylko fakty, przeżycia które utrwaliły się w mojej pamięci jak obrazy na trwałej i dokładnej kliszy. W pierwszych dniach września (albo może z końcem sierpnia) wstąpiła do nas matka Tadzika (obecnie mojego zięcia) w drodze z Teremnego na jakieś leczenie i radziła się co robić, czy jechać czy wracać do domu. Poradziłam wracać do domu i tak zrobiła.

Tulu dostał podwójną wypłatę za dwa miesiące, za którą kupiłam trochę żywności jak mąki, cukru, tłuszczu, kaka[o] (tym kakaem długo

urozmaicałam mojej Anusi jedzenie). Złożyłam te zapasy w zamczystym kufrze Babci, dołożyłam do tego dosyć pokaźną ilość konfitur i soków jakie zrobiłam w lecie no i czekaliśmy na wojnę — wojnę w Krzemieńcu, na wojnę we naszym domu. Wypadki potoczyły się lawiną, Ludzie przewijali się przez nasz dom i nasze podwórze jak w kalejdoskopie.

Na podwórku pełno aut. Uciekinierzy z zach i środkowej Polski tłumnie uciekali przez Krzemieniec i Zeleszczyki do Rumunii. Nocą trakt wiodący przez Dubieńską Rogatkę (przedmieście Krzemieńca) wyglądał jak błyszczący wąż – to światło pojazdów, nieprzerwany strumień. Do mieszkania dochodził szum pojazdów. Nikt pewnego pogodnego dnia (prawdopodobnie gdzieś 11 września 1939 r.) nie spodziewał się bombardowania. Uciekinierzy rozeszli się ze zakupami żywnościowymi a na rynku było jej wówczas dostatek (Chłopi już słyszeli o nadciągających wojskach radzieckich i przypuszczali, że gospodarki ich będą skotchozowane, i dlatego wysprzedawali swój dobytek). Z falą uciekinierów dostała się do Kremieńca dziewczynka około 12 letnia. Była całkiem bez rodziny — wzięliśmy ją do siebie — było jej na imię Janka. W piękny ten ranek po naradzie z Babcią wystaliśmy Jankę na rynek po sliwki na kneble. Tulu poszedł zgłosić czy oddać radio na policję. No i zaczęło się bombardowanie. Samoloty niemieckie zniżyły się nad sam rynek nabitą ludźmi i bezpośrednio ostrzeliwały ludność z karabinów maszynowych. Przy tym bombardowano całą, główną ulicę, nawet cmentarz poważnie ucierpiał. Zginęło wtedy wiele osób. Dziewczyna - Janka wskoczyła do najbliższej sieni, w której ze strachu przesiedziała prawie do wieczora. Tutu w opuszczonym budynku policyjnym położył się pod oknem i wrócił zdrów i cały. Ja byłam w ciąży z Anią (Ania urodziła się 11-X 39), porwałam na ręce 2 letniego Otusia, Lilę za rączkę i wołając Babcią uciekałam i schroniłam się w tak zwanych „Skątkach Dziewiczych”. Było tam wiele osób z pobliskich domów. Babcia zaczęła się kręcić dookoła siebie wbiegła do mieszkania i została w domu. Gdy następnie znaleźliśmy się cali w domu – ja z dziećmi i Tulu zaczęliśmy się martwić o Jankę. Tulu poszedł na rynek i jakoś ją odszukał i przyprowadził do domu. Od tego dnia następował alarm za alarmem. My chroniliśmy się w piwnicy, ale w końcu nie reagowaliśmy na syreny i normalnie siedzieliśmy w domu, jedna tylko Lilusia siedziała po całych dniach w piwnicy i zielona ze strachu wszystkich nas do niej ciągnęła. Wreszcie alarmy ustały, między ludźmi rozeszła się wieść, że nadciągają wojska Sowieckie. Koniec Polski i jak to mówili Ukraińcy

„Polska łopnęta” Nastąpił nowy rozbiór Polski – podzielili się Nią, Rosjanie i Niemcy. Płakałam okropnie, ale kręciłam się po domu sprząając szorując i płacząc. Jeden z uciekinierów Marek — górnik zaczął mię pocieszać, że on jest w gorszej sytuacji bo odcięty od rodziny a tam są już Niemcy, że przecież Świat nas tak nie zostawi. Dowiedzieliśmy się już, że Anglia też wydała wojnę. Czekaliśmy już od 1-IX 39 r. końca wojny, Końca wojny z dnia na dzień. Zaczęły już od pierwszych dni września krążyć przepowiednie, przypuszczenia, że za miesiąc, za 60 dni, za 3 miesiące będzie koniec, że gdzieś tam naród polski i wojsko stawia opór Niemcom i t.d. i t.p. Zapomniałem napisać, że w czasie przedwojennych ostatnich ferii przebywał u nas Kazik Unold - Hela moja siostra - matka Kazika była na kursie nauczycielskim na Zaolziu. Wpadła do nas z początkiem września i zabrała Kazika i pojechała w myśl rozkazów rządu polskiego do Podlis K/Kowle uczyć. Była to straszna Ukraińska wieś. Niektórzy jej mieszkańcy już we wrześniu rabowali i zabijali uchodźców i żołnierzy polskich. Heli szczęśliwym trafem nic się stało - odbył się nad nią sąd złożony z całej ludności wsi - nie mieli nic przeciwko Niej a przy tym sądowi przewodniczył politruk armii sowieckiej, który był z pochodzenia Polakiem. Hela została nawet dyrektorką 10-latki. Słyszałam dużo o armii bolszewickiej i chciałam ją zobaczyć. Ukraińcy wystawili im bramy tryumfalne, witali chlebem i solą. Maszerowali szeroką - (główną ulicą Krzemieńca) Żołnierze niscy, szczupli, zabiedzeni, szli w hełmach które im zakrywały połowę twarzy. Sąsiadki Ukraińki, zamiast się na nich patrzeć — oglądały mię, a mnie łzy dławily.

Pomału zaczęło się normować życie w Krzemieńcu. Część uciekinierów Polaków powróciło do swoich miejsc do Gubernatorstwa, część szczególnie mężczyźni uciekło za granicę — najwięcej do Rumunii, część została wywieziona na Sybir, a rozbitki Armii Polskiej dostały się do niewoli rosyjskiej. Część została od razu wymordowana przez Ukraińców.

Jednym z takich, który usiłował się przedostać za granicę był Witold Duda - Lolek. Odwiedził nas w Krzemieńcu gdzieś około 15 X-39 r. pożegnał się (był „za Polski” naczelnikiem poczty w Stalowej Woli i porucznikiem rezerwy) i ruszył w kierunku Zdeszczyk. Na granicy został złapany przez Sowietów i wywieziony do obozu karnego do Republiki Komii. Jeśli już piszę o Nim to dokończę Jego historię. Dopiero po roku napisał do was z obozu lakoniczną kartkę że jest zdrow. Tyle było o Nim wieści w czasie wojny. Dopiero po wojnie kontaktowaliśmy się z Nim i dowiedzieli jak ocalał. My po otrzymaniu kartki wyszykowaliśmy paczkę (suchary na jajkach i mleku,

czosnek, kwiat lipowy i trochę słoniny) i z wielkim trudem wystaliśmy ją - jeździłam z nią aż do Smygi k/Krzemieńca — Bolszewicy utrudniali nadawanie paczek (Waga przesyłki nie mogła przekroczyć 2kg) Co raz wyznaczali inne punkty i w różnym czasie. Ta paczka podobno uratowała mu życie bo już ginął z głodu. Gdy doszło do porozumienia między Stalinem a Sikorskim — Lotek wstąpił do Armii Andersa. Po drodze ożenił się z Danką Musiałówną która też była wywieziona na Sybir. Lotek bił się we Włoszech koło Ankony. Wystąpił po wojnie z wojska w charakterze kapitana. Był w Anglii a następnie wyjechał do Argentyny do Barilosze. Ma syna Andrzeja, który już się ożenił i przybraną córeczkę. Teraz chętnie wróciłby do Polski.

Ale wracam do nas. U mnie zbliżał się poród. Podwórze opustoszało z uchodźców. Przygarnięta dziewczyna wyjechała do rodziców. 9-X spadł niespodziewanie śnieg. Ja w obawie, że warzywa zmarzną w ogrodzie — wybierałam je z pod śniegu i mokre, ciężkie zanosłam do piwnicy i to może przyspieszyło poród. Około 12 w nocy wysłałam Tula po akuszerkę. Babcia źle się czuła, więc sama rozpałiłam ogień pod kuchnią, postawiłam wodę, przygotowałam [becik] i koszulki. Nim akuszerka umyła ręce — przyszła na świat Anusia. Odważna, mądra dziewczynka. Aż do ryzyka odważna. Była już na dwóch „babskich rejsach” (było ich cztery niewiasty), obecnie jak to piszę płynie tylko z Krysią na małym jachciku klubowym przez Bałtyk do Zatoki Fińskiej. Zawsze się o Nią obawiałam a teraz ogromnie bo poprzedni rejs o mało a nie przepełcały życiem. Babcia początkowo zasmuciła się, że to nie chłopczyk, ale po kilku dniach bardzo się Jej Anusia spodobała. Leżałam tylko 3 dni i to dorywczo, bo musiałam sama kąpać i przewijać dziecko - akuszerka nie przychodziła a Babcia się bała.

Po urodzeniu Anusi nastąpiła piękna pogoda. Wtedy to właśnie wpadł do nas brat Tula Lotek. Tulu uczył w dwóch szkołach ukraińskich. Polskie szkoły zostały skasowane. Ja byłam „chadziajką domową”. Utrzymać a właściwie wyżywić rodzinę to była nielada sztuka. Za wszystkim trzeba było stać w kolejkach a te były olbrzymie, bo do Krzemieńca uciekło z Gubernatorstwa bardzo dużo Żydów. Ja czasem stawałam o północy aby przynieść 25dkg cukru a najwyżej ½kg, a często wracałam z pustymi rękami. Czasem udawało mi się zdobyć trochę cukierków (bardzo lichych) i wtedy były ucztę bo i starsi mogli się napić herbaty „na przekusku”. Cukier był tylko dla dzieci. Za pieczywem kolejki. Przeważnie przynosiłam do domu razowy chleb — my lubimy razowiak ale dzieciom, a szczególnie malutkiej Ani nie smakował. Za mąką kolejki, za solą kolejki. Materiały tekstylne polskie

zniknęły jak kamfora, część ludzie jeszcze we wrześniu rozkupili a resztę skonfiskowały władze bolszewickie i wywiozły. Od czasu do czasu przechodziły transporty z Rosji, ale to były niewiarygodnie liche materiały. Przeważnie drukowane, oblaźłe perkale. Ja kupiłam raz (stałam w olbrzymiej kolejce) kilka metrów – dzieciom Babcia poszyła piżamki a sobie uszyłam sukienkę. Piżamki w pierwszym praniu oblaźły a moja sukienka po pierwszej kolejce wyglądała jak szmata. Sukienkę w kolejce mi przy tym rozdarli. Pożyczyłam 1 agrafkę i tak przyszedłam do domu. Mydła do prania nie było. Robiłam ług z popiołu i brudniejsze części bielizny namydlałam lekko toaletowym mydłem bo takie od czasu do czasu można było kupić. Bieliznę pościelową brukało się na obie strony. Tulu miał przeważnie jasne typowe koszule z rękawami i to była męka tym praniem – oczywiście tradycyjnym sposobem we ballii i pracze.

Za mleko chłopcy nie chcieli przyjmować pieniędzy, oddałam więc z domu płaszcze, buty, firanki bo mleko musiało być dla dzieci. Opał znikł i tak już prawie od początku wojny do chwili ucieczki z Krzemieńca paliliśmy tym co przywlekłam z lasu lub ukradłam z okolicznych płotów. W lesie szukałam jak najdłuższych gałęzi, wiązałam grubszą część, zakładałam na ramię i wlekłam do domu. Lewe ramię miałam opuchnięte i obolałe. W okolicach Krzemieńca znajdował się torf ale sprzedawali go tylko Ukraincom albo tym, którzy przy nim pracowali. Poszłam i ja do Sapanowa. Pracowałam dostawnie o chlebie i wodzie. Spałam u chłopca na sianie a wtedy to już było niebezpiecznie bo chłopcy szykowali się do mordowania Polaków.

Układałam torf w małe stosiki na wymierzonym obszarze. Wieczorem nie mogłam wyprostować krzyży, a z końców palców szła krew. Mimo wszystko wytrwałam kilkanaście dni i przywiozłam do domu duże furki torfu. To był skarb bo zbliżała się zima a ja już nie miałam siły chodzić do lasu. Ten torf przywiozłam przed samą wojną między ZSRR a Niemcami a za okupacji niemieckiej. Polak po prostu nie miał prawa pójść do lasu bo i od Niemców i od Ukraińców groziła śmierć. Szczęście, że w domu była Babcia, która opiekowała się dziećmi, bo ja stałam „na chodzie” to po kolejkach, to za wymianą odzieży na żywność to do lasu po drzewo.

Do chwili wojny z Niemcami baliśmy się ogromnie wywózki na Sybir. Początkowo wywożono rodziny wojskowych, policjantów, służbę leśną, wyższych urzędników, rodziny podejrzanych a do nich i my należeliśmy, bo brat Tula - Witold był w karnym obozie na Sybirze. Wszyscy Polacy byli „podejrzani” bo nawet uchodźcy z Gubernatorstwa. W obawie przed

wywózkę stale trzymałam suchary chlebowe, suchy makaron a Anię karmiłam piersią do półtora roku. Ponieważ Tulu pracował więc ze chrztem było ciężko a zresztą czekaliśmy końca wojny i wtedy chrzest odbędzie się uroczysty w gronie rodziny. Tymczasem końca wojny nie było a Ania rosła, więc jako półtoraroczna dziewczynka na piechotę poszła z Babcią i ze mną do kościoła. Znajomy nasz p. Werner i Balcia „trzymali” ją do chrztu. Piszę w cudzysłowie „trzymali” bo pamiętam że Ania w długiej kremowej sukieneczce przerobionej z mojej balowej przedwojennej sukni stała sama na skrzyni w zakrystii. Ania już dobrze wtedy biegła i mówiła. Mimo ciężkich czasów Ania się dobrze chowała. Chodzić zaczęła w dziewiątym miesiącu. Babcia się bardzo cieszyła że została chrzestną matką, po drugiej babci (mojej mamie) otrzymała imię które mi się bardzo podoba — Joanna. Ja jak już wspominałam, byłam stale zagoniona, zaaferowana za to Babcia opowiadała dzieciom śliczne bajeczki własnego pomysłu, czytała im, karmiła. Ja im też trochę czytałam szczególnie wierszyki Porazińskiej. Pamiętam że prawie do wszystkich wierszyków dorabiałam melodie i czytałam je „śpiewajaco” i tak potem jak uczyłam to też w pierwszych klasach „śpiewałam”. Lilusia akuratnie zdała przed wojną swój pierwszy egzamin wstępny do 1 kl. szkoły ćwiczeń przy Liceum. Naturalnie ze zdała go dobrze szczególnie jeśli chodzi o barwy. We wrześniu 1939 r. Lila zaczęła chodzić do pierwszej klasy, ale że „Polska Topła” wykładowym j. był język ukraiński a Lila go całkiem nie знаła — zresztą przecież spodziewaliśmy się lada dzień końca wojny więc zabraliśmy Lilę. Pamiętam że nauka odbywała się i w niedzielę i to mię też zraziło i Lila została w domu. Uczyłam ją dorywczo czytać i pisać nauczyła się prędko, z rachunkami szło ciężiej, ale dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że Lila była mądrą dziewczynką bo nauczyła się czterech działów w zakresie 20 a potem 100 bez konkretów i tłumaczeń większych. Mały Otuś słuchał bajek i dużo jeździł z Tatem na rowerze. Otuś urodził się już z czarnymi włoskami — ja też byłam brunetką i jak szłam z Otusiem to brali nas wszyscy za Żydów. Dzieci miały zaledwie kilka zabawek. Przed samą wojną Oluś dostał małpkę i z tą małpką uciekaliśmy z Krzemieńca, małpka ta jeszcze na Helenie w Sączu plątała się. Załuję że jej nie zachowałam. Zamiast zabawek dzieci miały dużo książeczek, farb, papieru kredek. Otuś wcześniej zaczął rysować maleńkich ludzików - całe kartki roły się od [drawing of stick figure] a ja im śpiewałam

*Jestem sobie dziad, dziad
Co ja będę jadł, jadł
Pójdę sobie na ryneček
Kupię chlebka bocheneczek
Będę jego jadł, jadł
" " " .*

Były to najmielsze chwile w tych makabrycznych czasach. Człowiek nie mógł się pogodzić z tym, że wszystko „Toptło” jak mówili Ukraińcy. Zdawało mi się, że utrzymam to wszystko jak będzie w domu czysto. Nie wiem skąd mi się brały siły, energia. Zbliżały się pierwsze Wielkanocne święta. Upiekłam trochę ciastek i kupiłam z tajnego uboju cwiartkę świni. Narobiłam kielbas. Wypastowałam podłogi wyprałam chodniki. Były to najwspanialsze święta na cały czas wojny. Był nawet w domu spirytus, który Tulu otrzymał z podziału z Muzeum Ziemi Krzemienieckiej. Za ten spirytus otrzymywałam od chłopów produkty. Tulu spał w osobnym pokoju, koło siebie miał stos książek bo przygotowywał się do lekcji. Ja z dziećmi i Babcią w sypialni. O północy słyszę dźwięki dzwonków u sanek (choć to były święta wielkanocne szpa śnieg - święta były w marcu). Był to czas wywózek na Sybir. Ktoś wali od strony podwórza w drzwi. Otwieram w nocnej koszuli a do mieszkania wali się kilku żołnierzy bolszewickich. Jeden stanął przy drzwiach z karabinem a reszta rozeszła się po mieszkaniu. Tulu berat. Zrobili rewizję przeglądali książki. Babcia była jakaś niezdrowa i trzęsała się ze strachu, błagając żołnierzy o życie syna. Następnie kazali sobie dać wódki (rozpuściłam sokiem cały nasz zapas spirytusu), podałam resztki mięsa, słoniny, czosnku i cebuli. Wypili, zjedli, mocowali się między sobą i przy tym nabałaganili w całym domu i nad ranem wyjechali. Z trudem doprowadziłam mieszkanie do porządku.

Sprawa krewnych - Majków.

Napisała do nas z początkiem wojny Gena Majkowa - cioteczna siostra Tula. Napisała, że mąż jej Adam - kierownik szkoły w Małorycie k/Chełmu

Lubelskiego zmarł, Ona - (jego żona) została bez środków do życia z trojgiem dzieci. Rada w radę i napisaliśmy do Niej list aby przyjechała do nas, że jakoś wspólnie będziemy pchać biedę. Mieszkanie mimo wojny miałam czyste, wyfroterowane podłogi, czystą pościel. Przyjęliśmy ją jak swoich do łóżek, do wspólnej kuchni. Po niedługim czasie zorientowałam się, że nas od nich oblaży wszy, i od tej pory prawie całą wojnę wszy i wszy a tu brak mydła, [sody] tak za Bolszewików jak i Niemców. Druga sprawa to wspólne jedzenie. Genia nie chciała zrezygnować z dobrego jedzenia. Dąsała się gdy np. zupy mleczne były pół na pół z wodą, gdy mięso dzieliłam na kilka obiadów. Trzecia sprawa to jej syn najstarszy Tadzik. Chłopiec ten miał z początkiem wojny około 14 lat i nałogowo kradł. Okradał nas, okradał matkę, „naciągał” znajomych powołując się na pokrewieństwo z nami. Przypuszczam że to wina rodziców. On pochodził z bliźniąt. Jego brat umarł a nad Tadzikiem to rodzice trzęśli się i na wszystko mu pozwalali. W chwili kiedy oni do nas przyjechali Tadzik miał około 14 lat, Krysia około 3 latka i Ceśiu około 2 lat. Myśmy wtedy zajmowali 3 pokoje, balkon i kuchnię. Nie moge znieść tego Tadka, oddzielałam się - odstępując im jeden pokój no i miejsce w kuchni. Genia poszła do pracy do browaru. Moglibyśmy jednak żyć razem pod wspólnym dachem gdyby nie Tadek. Nawet Milicja do nas przychodziła z powodu Tadka. Nie było ratunku — trzeba się było wyprowadzić. Właściciele wolnego mieszkania zarządzali z góry czynszu na pół roku. Sprzedaliśmy na ten cel mój złoty zegarek „Omegę”, ubranie Tula, dołożyliśmy z poborów Tula i przeprowadziliśmy się. Byliśmy jak to się mówi całkiem „sptukani”, bez pieniędzy, bez żywności ale w domu na ul. Lipowej był spokój. Niedługo jednak, bo nadeszła wojna między Niemcami a Z P P R.

Na ul. Lipowej mieszkaliśmy na piętérku. Mieliśmy też 3 pokoje, balkon, kuchenkę. Jeden pokój obwieszony był pięknymi gabletkami z owadami. Gabloty wykonywał stolarz według projektu Tula, na nasz koszt. Zbiory piękne, zostały w muzeum Krzemienieckim. Praca i wartość naprawdę bezcenna. Odkąd Tula poznałam to stale coś kolekcjonował, nie było jednej wycieczki któraby się odbyła bez jakiegoś celu a przede wszystkim łapanie owadów i zbiory roślin. Nocami chodziliśmy też z białymi prześcieradłami i latarkami na ćmy. Cały nasz dobytek pozostał w Krzemieńcu: owady, zbiory roślin, książki, obrazy, meble, naczynie, pościel.

Niemcy

Jednego dnia Tulu wrócił z konferencji i mówi, że coś się „święci” i że inspektor Rosjanin uspokajał naucz. i radzili im aby sobie poszli na spacer na Górę Bonę (były i są dalej tam ruiny zamku Bony. Z góry tej rozciąga się piękny widok na Krzemieniec i najbliższe okolice). Na drugi dzień ruch w mieście. W domu nie było nic do jedzenia. Wzięłam Anię na ręce i postąłam w „kolejkę” za chlebem. Stałam na ul. Szerokiej, gdy nagle rozpoczęła się strzelanina, na ulicy pokazało się dwóch Niemców na motocyklu, Na szczęście Tulu wyszedł z domu, odszukał mię, porwał Anię na ręce i skoczyliśmy do potoku płynącego zaraz za domami. Ulice momentalnie opustoszały. Potokiem doszliśmy w górę, przebiegli ul. Szeroką, wskoczyli na naszą uliczkę i do domu, ale bez chleba, którego od tej pory stale nam brakowało, od tej pory zawitał do domu naszego głód. Jeden wróg uciekł — drugi nas zagarnął. Sowietzi przed samym wkroczeniem Niemców wymordowali wszystkich więźniów. Ludzie z płaczem wracali z więzienia i niektórzy rozpoznawali w bestialski sposób w pomordowanych — swoich krewnych, znajomych.

Głód za okupacji niemieckiej

Tulu pracował w Muzeum, w instytucji którą Niemcy pozornie tylko tolerowali a w zasadzie starali się ją zniszczyć. Wydawali n. p. rozkazy aby opróżnić dotychczasowe pomieszczenie muzealne w ciągu jednego dnia. Pracownicy na gwałt szukali następnego lokalu i na plecach sami przenosili eksponaty. Pamiętam, że Tulu zarabiał tyle, że za całomiesięczną „pensję” można było kupić na czarnym rynku „jeden kg. masła”. To była ofiarna praca, ale muzeum ocalało i jest do dzisiaj razem z gablotami owadów Tula i olbrzymimi zbiorami roślin.

Przydziały żywnościowe nie wystarczały nawet na utrzymanie jednej osoby a tu trzeba było wyżywić troje dzieci i trzy dorosłe osoby. Przynosiłam raz na tydzień $\frac{3}{4}$ chleba jęczmiennego, który natychmiast zjadaliśmy (na drugi dzień gorzkniał i sypał się jak trociny), odrobinę wstrętnej marmolady a od czasu do czasu kilkanaście dkg. mięsa. Co tylko było w domu wymieniałam na żywność. Płaszcz, firanki, teczki skórzane (ludzie robili z nich buty) obrazy. Za Babci czarny płaszcz z selskinowym kołnierzem dostałam blisko jeden metr pszenicy. Był to skarb. Mieliśmy to złote ziarno na

zakonspirowanych przed Niemcami żarnach. Robiłam z mąki [zalewkę], kluski a do otrębów dodawałam utarte czerwone buraki i piekłam na kuchni placki. Dowiedziała się o tej pszenicy matka naszych gospodarzy, która przebywała na wsi u syna popa. Poprosiła, żeby jej tą pszenicę pożyczyć bo chce większą ilość zemleć a ona zaraz przywiezie ze wsi i odda ją nam. Zabrała i tyleśmy ją widzieli. To było nieludzkie, bo Ukraińcy byli faworytami Niemców i mieli poddostatkiem żywności. Wymieniałam np. piękne firanki za 25 kg kaszy jaglanej. Przez cały miesiąc oprócz tej kaszy i 1 litra mleka dziennie nic innego nie jedliśmy. 30 litrów mleka otrzymałam za dwa piękne, ręcznie haftowane obrazy Matki Boskiej i Pana Jezusa. Tulu wracając z pracy dostawał ukradkiem 2–3 buraki cukrowe z których piekłam z dodatkiem otręb placki, lub wygotowywałam „miód”. Innym razem wymieniłam za jakiś ciuch trochę zyta, które męliśmy z Tulem na muzealnych żarnach. Trzymałam przez jakiś czas dwóch uczniów, dzieci popa „na stancji”. Opłatą była żywność: trochę ziemniaków, mąki i stoniny. Był to raj, ale trwał krótko, bo pop zabrał dzieci od Polaków. Mieszkał u nas przez jakiś czas p. Niedźwiecki, który miał we wsi rodzinę i stąd miał swoją żywność, potacał nam coś za mieszkanie, ale ja mu podkradałam „coś nie coś”. Pamiętam, że raz wygłodniała zjadłam kawałek wędliny ale się okropnie rozchorowałam – „kradzione nie tuczy”. Ten pan Niedźwiecki to był wielki patriota, wyjechał do Warszawy, brał udział w powstaniu i podobno zginął. Piszę „wyjechał” a to były uciecki z narażeniem życia. Tulu przyniósł z Muzeum sody żrącej, no i robiliśmy mydło. Mydło robiło się nie tylko z łoju o który było bardzo trudno, ale i z jaj, z kur, z padliny z dodatkiem grochu dla lepszego pienienia. Ja z tym „towarem” chodziłam po wioskach i wymieniałam na co się dało a było już niebezpiecznie - Ukraińcy szykowali się do mordowania Polaków. Tatu dostał z Muzeum wiaderko soli (nie wiem skąd się tam ta sól wzięła). Ówczesny dyr. był Ukraińcem, mógł nam dać więcej ale wołał dać swoim, niektórzy i po metrze soli dostali. Soli za okupacji niemieckiej też brakowało. Ta sól też nas trochę podratowała. Pamiętam, że jednego razu wymieniałam za 1 szklankę soli kurę. Niestety kura albo u nas zachorowała, albo baba dała już nam chorą. Nie mogłam się ze stratą kury pogodzić. Oblewałam ją wodą aby oprzytomniała i wlewałam jej do dziuba kwaśne mleko, i wyleczyłam kurę. Dawniej drób zabijała mi sąsiadka Ukrainka, teraz nie chciała tego Polce zrobić. Dokonał tego dzieła Tulu. Wziął kurę i na pniaku uciął jej głowę, ale wyszedł z komórki tak blady, że już nigdy nie zwracałam się do

Niego w takiej sprawie. I tą żywnością trzeba się było też z jedną Żydówką dzielić. Niemcy a raczej milicja ukraińska pędzili Żydów z getta do pracy. Po drodze wpadała do nas jedna Żydówka z prośbą o jedzenie. Zawsze jej coś dawałam, czy kilka ziemniaków, czy garść jakiejś kaszy. Jednego razu dosłownie nic w domu nie miałam i na dowód pokazałam jej łupy z ostatnich ziemniaków. Łupy były cieniutkie (mówi się u nas, że Kreków. przez nie było widać), dałam je na prośbę Żydówki. Wogóle ziemniaki to był rarytas. Przeważnie gotowałam je w łupinach. Jednego razu miałam ich zaledwie kilka, za mało aby je same zjeść. Zrobiłam więc z nich pierogi a że miałam tylko żytnią mąkę, więc zagniotłam z niej ciasto, pierogi „omaściłam” cebulką przyrumienioną na odrobinie śmietanki. Dzieci były b. zadowolone, aż Lila napisała o tym w swoim pamiętniczku (gdzieś przepadł a to wielka szkoda). Jednego razu dostaliśmy od współpracownika muzealnego trochę marnych śliwek (to był Obolończyk — obecnie jest lekarzem w Kijowie). Też zagniotłam ciasto z razowej mąki i zrobiłam "knedle", połamam je rozpuszczoną w wodzie sacharyną, Otuś wołał do swojej rówieśnicy Dzidki Targońskiej z balkonu czy z okna, że u nas są na obiad knedle. Trochę żywności zdobywał Tulu wyjeżdżając rowerem do Chodak do Heli. Przywoził od Niej kapustę, odrobinę kaszy. Jazdy były niebezpieczne bo Ukraińcy już na dobre szykowali się na Polaków. Tulu nakładał drogi i objeżdżał wsie. Jednego razu zawiózł na wymianę do chłopa swój płaszcz zimowy. Dostał za niego gęś i trochę miodu była uczta przez kilka dni. Czasem przyjeżdżał do nas któryś z Unoldów - (Jan z Szumska lub Apolinary z Chodak). Prawie zawsze przywozili z tajnego uboju mięso do sprzedania. Ja je rozprowadzałam wśród znajomych. To była bardzo niebezpieczna na ówczesne czasy afery. Za takie rzeczy Niemcy nawet śmiercią karali. Sobie zostawiałam ochłopy, za które im też płaciłam. Wogóle myśmy mogli nie cierpieć głodu bo Oni (Unoldzi) mieszkali na wsi i mieli jej pod dostatkiem. Cóż syty głodnemu nie wierzy a Oni zginęli. Nasze napoje to herbata z przypalonych łupin jabłecznych, z kwiatu lipowego czy liści poziomkowych. Chyba z liści poziomkowych była najlepsza. Próbowalam też robić kawę zołędziową z przypalonych połówek, ale to była Syzyfowa praca bo ich nigdy zemleć ani nawet potłuc w młynku nie mogłam. Tak się rozpisałam o tym głodzie ale to był olbrzymi problem, który właściwie na mnie spoczywał.

Śmierć Babci Dudowej

To jest właściwie z tym głodem związana. Babcia była żywotna i gdyby nie wojna żyłaby o wiele dłużej. Ona lubiała mięso, tłuszcze a tu nagle głód, podupadła więc bardzo na siłach. Pewnego razu przyszedł do Krzemieńca Julek Unold (mąż cioci Heli), z kontygentem tytoniu. Wstąpił do nas i namówił mnie abym pojechała do Chodak (40 km) to sobie coś z żywności przywiozę. Powyciągałam resztki ciuchów na wymianę i już mam jechać, gdy Babcia robi mi awanturę, że ich samych zostawiam. Tłumaczę, że przecież przywiozę do domu trochę słoniny, mąki, masła ale Babcia dalej zła. Byłam już na dole i miałam wsiadać na furmankę ale „coś mię tknęło” zawróciłam i serdecznie się z Babcią pożegnałam. Do tej pory żałuję, że nie wyjechałam wtedy bo jednak Babcia żyłaby dłużej. W Chodakach wymieniałam ciuchy przede wszystkim na tłuszcz i codziennie chodziłam na żarna mleć przenicę, bo Julek mi powiedział, że ile jej zmiele tyle sobie mogę zabrać do Krzemieńca. Chodziliśmy obie z Helą (Hela była wtedy w ciąży z Alkiem) bo oni też męli dla siebie no żarnach. Strasznie się niecierpliwiłam a tu ten sąsiad, który też miał jechać z kontygentem tytoniu opóźnił wyjazd bo Niemcy nie pozwalali opuszczać Chodak. Chyba coś dopiero po 10 dniach wyjechałam z Chodak a w drodze otrzymałam w Szumsku telegram, że Babcia nie żyje. To było w końcu zimy. Mieszkanie zimne. Do kuchni przechodziło się przez przedpokój - kuchnia nad schodami. Babcia grzała się pod piecem w pokoju a do kuchni wychodziła coś ugotować dzieciom i musiała dostać zapalenie płuc. Nim się Tulu zorientował i zawołał lekarza już było za późno. Gdybym ja była to może nie przeżyłaby się, albo od razu postawiłabym Babci bańki i odratowano ją. Ogromnie płakałam i żał mi jej do tej pory. Wiem, że gdyby żyła to teraz miała by około 100 lat, ale żał mi, że nie ogląda telewizji, nie słucha muzyki a była b. muzykalna. Nie cioszy się wnukami — a może cieszy ?! Błagam moją mamę o opiekę nad moimi dziećmi a może i Ja, Babcię Dudową też o nią prosić? Postawiliśmy z Tulem pomniczek na Jej grobie (trzy lata temu w 1970 r), i jakoś mi lżej. Za życia chodziła na spacer na „Cmentarz Tunicki”, siadała na grobie matki Słowackiego i mówiła do Lili, że będzie Jej (Babci) kwiatków przynosić bo tutaj chce być pochowana. Tak się stało - Jej grób zaraz koło grobu Salomei Słowackiej się znajduje. Pamiętam, że uszyłam z mojego czerwonego swetra rajtuzy dla Ani (z rękawów) i Otusiowi (z pleców). Dzieci (Ania i Oluś) nie zdawały sobie

sprawy ze śmierci i goniły się dokoła katafalku. Stara harmonia Balci została w kufrze w Krzemieńcu.

Żydzi

Mieszkaliśmy ostatnio w takiej wiliżce na górze a na dole zamieszkali zaraz po wkroczeniu Niemców Żydzi. Była to bardzo bogata bezdzietna rodzina. Oni chcieli u nas przechować trochę rzeczy. Tulu jednak absolutnie nie chciał się zgodzić. Jednego razu gdy oboje wyszliśmy z domu błagali Babcię i właściwie na siłę wnieśli stos walizek i piękne puszyste koce. Wróciłam z miasta i „wsiałam” na Babcię z wymówkami. Tulu wrócił i stanowczo kazał mi odnieść ten bagaż do Żydów. Tulu miał przekonanie, że przetrzymywanie rzeczy a tym bardziej używanie, korzystanie z nich tak okrutnie prześladowanych Żydów i na nas ściągnie nieszczęście. Może miał i słuszość ?! Oddałam i nie żałuję. Żydów zabrano do Getta – napewne przepadli. To przeokrutna, to straszna hańba dla Niemców i Ukraińców którzy z całej duszy pomagali likwidować i prześladować Żydów. Pamiętam jak się paliło Getto, jak się wywiązała strzelanina bo Żydzi bronili się. Ja chodziłam jak obłąkana, głowa bez przerwy bolała mię. A tu żyć trzeba było. Zebrałam całą torbę starych butów aby nimi naprawić trzy pary najmożliwszych. Pech chciał, że szewc mieszkał na przeciw bramy z getta. Widziałam wyjeżdżające z niej auto. Było to auto ciężarowe wyładowane Żydami. Byli stłoczeni, pokurczeni bo na ich grzbietach leżała olbrzymia drewniana „deka” a na niej siedziało kilku ukraińskich milicjantów z karabinami gotowymi do strzału. Uczeń Tula widział na własne oczy jak nad wspólnymi mogiłami- dołami były przerzucone kładki, na których stawali do naga rozebrani Żydzi, a których rozstrzeliwali gestapowcy. Karabiny maszynowe mieli oparte na stojakach, jak się zmęczyli zabijaniem to rozpalali papierosa, podjedli sobie i dalej „do pracy”. Na drugi dzień po zasypanych wapnem i ziemią mogiłach przejeżdżali walcem drogowym.

Pewnego dnia, niedługo po wkroczeniu Niemców poszłam i stanęłam w kolejce za chlebem, ponieważ brano mnie za Żydówkę, Ukraińcy zaczęli szemrać, patrzeć na mnie złowrogo. Na szczęście niedaleko stała jedna sąsiadka (Polka) która od urodzenia mieszkała w Krzemieńcu i dlatego była

lepiej znana niż ja i ona zaczęła tłumaczyć, że jestem Katoliczką-Polką a nie Żydówką.

Chleba jednak nie dostałam chociaż legitymowałam się przed sprzedawcą łańczuskim z Matką-Boską, a byłam świadkiem okrutnej sceny.

Podstyszałam rumor i krzyki dochodzące z sąsiedniej sieni i zobaczyłam jak na ulicę wyskoczył Żyd w chałacie z pejsami. Kilku osób wybiegło za nim, ale dołączyli się do nich „ludzie” z kolejki, którzy porwali za kamienie i dosłownie ukamienowali tego Żyda. Uliczka była niebrukowana, nieasfaltowana. Jednego razu widziałam jak stara Żydówka niosła na „koromysłach” dwie drewniane konewki z wodą, droga szła pod górę, z której nadejechały sanie ze stojącym na nich furmanem. Chłop umyślnie najechał na Żydówkę, która dostała się pod te sanie i tą drącą się Żydówkę wlokły a chłop wywijał batem i nie zatrzymał się. Ja się też darłam ze zgrozy.

Ukraińcy

Polacy w Gubernatorstwie byli w straszliwy sposób prześladowani przez Niemców ale nam na tak zwanej Ukrainie było chyba jeszcze gorzej. W Gubernatorstwie byli Niemcy kontra Polakom a tutaj dołączył się jeszcze jeden straszliwy wróg: Ukraińcy, a my byliśmy mniejszością. Ukraińcy dorównywali kroku Niemcom. To oni wydawali nas w ręce Bolszewików a potem Niemców. To Oni wydali takich na prawdę bardzo wartościowych ludzi na śmierć (prof. Opolskiego, Mączaka, Sawojcównę, Torgońskiego, Szynajowicza i wielu wielu innych). Nasz a przeded wszystkim Tula też to czekało ale front wschodni zaczął się zbliżać no i my uciekliśmy. Prof. Mączak był założycielem Muzeum, dr. Opolski napisał przed samą wojną rozprawę o hitleryzmie. Nie słyszy się nic o Ukraińcach przebywających i ginących w obozach koncentracyjnych. Ania miała jakieś silne bóle, płakała chwilami. Nic dziwnego jeśli w domu była np. tylko żytnia mąka (Może dlatego nie lubię tak chleba żytniego). Zabrałam więc Anię na ręce i poszłam do „Gebitskomisarza” po grysik dla Ani. Czekałam chyba ze dwie godziny na dopuszczenie mnie przed oblicze dygnitarza. Wytuszczyłam tłumaczowi ukraińskiemu swoją prośbę, a oni poszwargotali między sobą i mie dali ani 25 dkg grysiku. Ukraińcy najpierw zdradzali nas i donosili Bolszewikom — nigdyby nas tyle nie wywieźli na Sybir, nie zabrali do więzień, nie rozstrzelali gdyby nie Ukraińcy. Jak się tylko wojna zaczęła

Ukraińcy kontaktowali się z Niemcami przez stacje nadawce, mordowali wchodzców z Zach. Polski i t. d i t. p.

Śmierć Julka Unolda, jego braci, śmierć tysięcy Polaków z rąk Ukraińców.

Donosy na Polaków, aresztowania przez Niemców i mordowanie ich to trwało przez cały czas. Potem sami Ukraińcy zaczęli pojedynczych Polaków mordować, potem całe wsie, osiedla. Na Wielkanoc przyszła wiadomość z Chodak, że Julek Unold został zamordowany, że ten i ów znajomy zginął w powiecie, a potem cała lawina pomordowanych Polaków, całych rodzin z dziećmi, starcami, całych wsi. Polacy bronili się, uciekali do większych skupisk - organizowali się (Czytaj „Czerwone noce” Cybulskiego). Dużo Polaków z okolicznych wsi znalazło się w Krzemieńcu, całe falangi uciekinierów już pod osłoną karabinów niemieckich zdążyło do Krzemieńca. Wychodziłam przez jakiś czas codziennie na „Wiśniowiecką Rogatkę” i czekałam z płaczemna Helę z dziećmi. Widziałam tych biedaków, jedni na wozach, drudzy piechotą z tobołami i dziećmi. Spali na deskach w kościele licealnym, rozchodzili się po domach polskich, ze strony Niemców też czekało ich niebezpieczeństwo wywózki na roboty do Niemiec. Polacy - mieszkańcy Krzemieńca organizowali im i jak mogli pomagali. Ja z p. Doroszukiewą też ugotowaliśmy kilka razy po wiadrze zupy. Składałyśmy się razem na nią. Przeważnie były to kartofle z kluskami. Zupa była z omastą. Chodziłam po sąsiadach Ukraińcach i żądałam wprost tłuszczu. Jedni dawali jak np. Skibinieccy, inni jak np. zapiekła Ukrainka Turkowa nie chciała dać ani plasterka. Jak oburzona, roztrzęsiona mówiłam o tym powiedziała mi; „ano trudno tam de drowa rubajat tam trziski letut” Falangi” — całe tabory Polaków opuszczały swoje osiedla, az wreszcie w jednym taborze znalazła się Unoldowa [Maria] z dwojgiem dzieci — żona okrutnie zamordowanego w Szumsku Jana Unolda. Zamieszkała u nas. Zaraz po naszej ucieczce z Krzemieńca i Jej udało się uciec. Żyła w Opolu. Dzieci wykształciły się pożeniły. Ona już umarła na raka. Hela natomiast uciekła z dziećmi do Ostroga - stamtąd do Bożęcina k/Tarnowa, gdzie mieszkało wtedy dwóch naszych braci Kazek i Staszek. Z czterech braci Unoldów cudem uratował się tylko jeden Apolinary a trzech zginęło. Jeden z nich Florian - kierownik szkoły k/Kowla

zginął razem z żoną Dalką właśnie na Wielkanoc. Dziewięcioletni najstarszy syn (Zbyszek) i dwóch młodszych jego braci (jeden był niemowlęciem) ocalało. Zaopiekowali się nimi rodzice chrzestni jednego z nich z Kowla, ale jak potem oni uciekali z Kowla to najmłodszy chłopczyk został postrzelony i też zginął. Najstarszy - Zbyszek sam zakopał matkę i ojca a miał do pomocy tylko kolegę wyrostka Ukraińca. Sołtys bał się zająć pogrzebem bo nie wolno było „Lachów” grzebać. Bał się tym dzieciom dać furmankę aby zajechały do Kowla. Syn naszej gospodyni mył milicjantem. My mieliśmy rower a on go prawie codziennie pożyczał. Przychodził Tulu z muzeum i krzychał mnie dlaczego wypożyczyłam rower. Ja szłam do nich jak na ścięcie i prosiłam o zwrot (mieszkali na podwórzu w oficynie). Oddawali mi go z ponurą miną. Tak było kilkanaście razy, ale rower uratowaliśmy i sprzedali przed samą ucieczką z Krzemieńca.

Pewnego dnia po podwórzu zaczęło się kręcić ludzi, którzy rozmawiali między sobą po ukraińsku. Pytam się ich co oni tu robią, a oni mówią, że uciekli z Rybczy (wioska k/Krzemieńca) przed Ukraińcami. Zdziwiona mówię, że przecież mordują Polaków a nie Ukraińców — wtedy dostałam odpowiedź, że są Polakami, ale nie umieją po polsku. Ukraińcy nie pytają czy jest z dziadzi pradziada na tej ziemi tylko mordują, mordują także mieszane małżeństwa.

Nasze dzieci w czasie wojny

Najwięcej przeżywała te czasy Lilusia która w 39 r. miała 6 lat. Ona najwięcej chowała się w piwnicy w czasie alarmów, Ona całą siłą chciała aby był dom a tu się wszystko rozlatywało. Miała powiększone gurczoty wędkowe i ja się strasznie o nią obawiałam. U nas w domu umarło troje rodzeństwa na gruźlicę, brat Tula umarł na gruźlicę. Jak tylko wyszłam z domu to płakałam a tu dziecko głoduje. Mąż naszej sąsiadki p.Kruczkowski był zarządcą majątku państwowego a więc niemieckiego. Mieszkali wtedy na wsi we dworze (w Buchłowie) opłtywali we wszystko. Zaproponowali nam zabranie Lili do siebie na jakiś czas.

Opiekę miała troskliwą, wspaniały wikt: nabiał, mięso, owoce ale coś i tego, Lila szukała w parku ustronnych miejsc i płakała. Odwiedzający ich lekarz powiedział, że płacze za domem. Tulu pojechał rowerem i musiał ją zabrać do domu. Uparta się aby na jedne wielkanocne święta (były to nasze

ostatnie tam święta) wybielić dom. Miałam wtedy złamaną rękę w gipsie, dobrze że lewą więc prawą ręką bieliłam, myłam. Jej pierwsza komunia św. odbyła się w licealnym kościele. Na przygotowania chodziła b. krótko. Sukieneczkę miała pożyczoną, sandały drewniane - zrobił Tulu. Wierzch był z mojego filcowego białego kapelusza. Przygotowałam wianuszek, świeczkę i rozpuściłam Jej piękne włosy a miała wtedy długie warkoczki. Jak się sąsiadki-Polki dowiedziały, że Lila idzie do Pierwszej Komunii św., przyniosły Jej w ostatniej chwili welon i same upięły na głowie. Babcia już nie dożyła tej chwili i Lila poszła sama do kościoła gdyż ja nie miałam przy kim dzieci zostawić a z dziećmi iść wstydziłam się gdyż nie miałam je w co ubrać. Ja nie miałam wiele czasu zajmować się Jej edukacją a Tulu nie umiał. Jak się prawie sama nauczyła czytać i pisać Tulu dawał jej „podręczniki” swoje studenckie i kazał na głos czytać. Naturalnie sama mi potem mówiła że nic z nich nie rozumiała. Wogóle przez cały czas trwania wojny to jak obliczyłam Lila chodziła wszystkiego 15 miesięcy do szkoły. Kilka miesięcy w Zmigrodzie, kilka tygodni w Turzy i kilka miesięcy na Zawadzie. W N.Sączu od razu poszła do S licealnej. W niektórych przedmiotach orientowała się aż zo dobrze - o innych nie miała zielonego pojęcia. Tulu w wolnych chwilach malował, dawał Lili też farby, tekturę i pamiętam Jej pierwszy obraz: była to gałązka jodłowa we flakoniku. Gdzie jesteś teraz moja Lilusiu ?!

Oluś miał 2 lata w chwili wybuchu wojny. Był tak jak i Lila po szkarłatynie. Lila miała powiększone guzeczki w karku a Otuś szmery w serduszkach. Dziecko rosnąć nie było w co. Ja nie umiałam szyć i to po prostu nieszczęście, bo i to w czasach wojennych, zresztą nie miałam maszyny. Od dziecka zawsze lubiłam haftować. Na krawcową w czasie wojny nie było mię stać, o fryzjerkę też nie było mowy, więc włosy sama podcinałam Otusiowi „a la garnek”. Jakies koszulki bluzeczki sama ściubiłam w rękach ale to wyglądało „pożał się Boże”. Oluś często chorował. W Krzemieńcu dostał zapalenia płuc a tu ani lekarza, ani lekarstw. Mieliśmy znajomych, którzy pracowali w niemieckim wojskowym szpitalu i od nich dostaliśmy jakieś pigułki, tylko nie pamiętam jakie - postawiłam branki i jakoś pomogło Jego tak samo jak i Lili. Edukacja polegała przede wszystkim na stosach przedwojennych „Płomyczków” i opowiadaniach Babci i od czasu do czasu na moim czytaniu książeczek dla dzieci. Lubiałam dzieciom śpiewać i aż się dziwię sobie jak mogłam to robić w takich makabrycznych czasach. Do edukacji dzieci należały też spacerówkowe Tula z Otusiem i Lilą na

przemiany. Jeździli po lasach, jeździli nad [Ikwę] dopóki Ukraińcy nie zaczęli mordować bo wtedy już i nosa za miasto nie można było „wyściubić”. Otusia nauczyłam czytać i pisać w szóstym roku życia w czasie regularnych lekcji z Bogną córką Nusi. Było to już po ucieczce naszej z Krzemieńca. Otuś od najmłodszych lat robił plańiki i lubiał oglądać atlasy geograficzne. Pamiętam jak po złożeniu ręki wracałam ze szpitala po jednej spędzonej tam nocy. Wracałam niespokojna a zarazem szczęśliwa do dzieci i zobaczyłam z daleka Anię i Otusia stojących na ganeczku. Jak je zaczęłam wołać wtedy dzieci zniknęły w mojej beczutce, która stała na balkoniku. One (dzieci) myślały, że ja zostałam całkiem pozbawiona jednej ręki i dlatego się schowały. Anusia jak to się mówi urodziła się pod bębami. Póki była niemowlęciem nie było kłopotu bo i wózeczek, poduszeczkę, koszulki miała z Otusia, ale czym były starsze tym gorzej było. Pierwsza jej sukieneczka przerobiona była z makatki z szarego płótna, ale sukieneczkę uszyła krawcowa ja ją tylko v gwiazdki wyhaftowałam. Miała potem więcej sukieneczek ale tą najwięcej pamiętam. Babcia zachwycała się Jej mądrymi dużymi oczami, ale Ona mało pamięta Babcię bo miała zaledwie 2 lata jak Babcia umarła. Często do półtora roku płakała, widocznie miała jakieś bóleści ale nic dziwnego czasem z żyta i [zuręta] giną. Zabawek naturalnie nie miała. Opowiadałam Jej w wieku 3–4 lat jak to Oluś i Lila wyrzucali przed wojną banany i pomarańcze pod łóżko – Ania dopytywała się jaki wygląd i smak miały te owoce. Pamiętam jak raz dorwałam się do pytlowanej mąki i Ania nie chciała z niej jeść klusek mówiąc, że nie chce takich klejących się klusek. W Zmigrodzie K/Jaśa miała już chyba coś około 4 lat i chociaż była naprawdę niezwykle mądrą dziewczynką nie umiała wymawiać „r”. Pan Kahl - pracownik mleczarni strasznie się cieszył i płacił Jej za to że mówiła wierszyk,

Cajma kjowa, w bojdo kjopki

Zajła tjawę, kjęcąc mojdą

Psiakjew skąd tu się tyle „j” nabjało.

Okres Zmigrodzki to odrębny etap dla całej rodziny. Usiłowałam posyłać Anię do zakonnic (w Zmigrodzie) które prowadziły coś w rodzaju przedszkola. Dawałam Jej flaszkę mleka, kromkę chleba z masłem (w Zmigrodzie Tulu pracował v mleczarni którą prowadziła Nusia), ale Ania nie

chciała się bawić z drugim dziećmi i przestała chodzić. Najlepiej dzieci bawiły się z sobą w czwórkę: Ania, Otuś, Bogna i Kazek Unold (wzięłam Go do nas od Heli, która wtedy uczyła we Lezach k/Borzęcina). Lila nie brała w tych zabawach udziału. Czasem dzieci szalały a Ania w tym przewodniczyła i zawsze w tych zabawach wykazywała największą odwagę. Pamiętam jak przyjechała do nas p. Kruczkowska (też uciekła z Krzemieńca i mieszkała blisko Jasta). Nusia ja i p. Kruczkowska nie mogłyśmy się nagadać ze sobą — młodsze dzieci bawiły się a Lila zniknęła, po pewnym czasie znalazłam Ją na kotarę w kącie (służył nam ten schowek za szafą odzieżową), siedziała skulona i płakała bo nie mogła znieść tego ruchu, rozmowy głośnej. trochę dziwne były nasze dzieci. Muszę wrócić do Otusia który powtórnie zachorował na zapalenie płuc. Ciocia Nusia gdzieś wyjechała, ja gotowałam u Niej obiady na dwa domy, opiekowałam się Julkiem, mężem Nusi, który był chory na gruźlicę. Ciężko mi było bardzo opiekować gromadkę dzieci i dwoma chorymi. Był taki znajomy lekarz dr. Rezacz (został zamordowany przez Gestapo bo opatrywał rannych „Akowców”) no i przepisał i dał nam prontosil i tylko aspirynę. Zdaje się że najlepiej pomogła aspiryna i bańki. Muszę jeszcze napisać o dalszej „edukacji” dzieci, szczególnie Ani. Gdy nas losy rzuciły aż w Zawadzie K/N. Sącza zamieszkaliśmy tam u naszych krewnych Zarębów. Chcąc się im odwdzięczyć podjęłam się nauczyć czytać i pisać dwoje ich dzieci Józkę i Hanię. Oprócz tego przyjął na lekcje jeszcze dwoje dzieci sąsiadów. Ania twardo dotrzymywała mi kroku w tych lekcjach chociaż ja Jej w zasadzie nie uczyłam bo wtedy miała chyba nipełnie 5 lat, a tamte dzieci miały już po 7 lat. Musiałam Jej jednak kupić zeszyty, a Otuś i Lila Jej „zadawali”. W niedługim czasie Ania już czytała gazety a tamte dzieci „dukały” jeszcze z elementarza.

Znowu wracam do Krzemienieckich czasów do złamania ręki mojej. Byłoby to głupstwem w normalnych czasach ale w czasie wojny to mała Tragedia. Zdobyłam za kawałek mydła 2 litry hreczki ale nie omielanej. Było to wczesną wiosną gdy poszłam z nią na żarna do znajomych ludzi. Zmęłam hreczkę, znajoma kobieta odsiała mi łuski i dotego odstąpiła mi 2l. mleka. Niezmiernie tym ucieszona wracałam szybko aby zdążyć przed zmrokiem do domu a kawałek drogi prowadził przez las. Szłam z góry i nosem w ziemię pokrytą lodem. Podparłam się ręką i „prysła” mi. Zeszłam do głównej drogi, ale do domu już nie wstąpiłam tylko podałam przez dzieci plecak z mlekiem i mąką i wezwałam Tula, który miał lekcje z uczniami

przerabiającymi kl. licealne. Tulu zaprowadził mię do szpitala. Ręka nabrzmiata i w szpitalu chcieli mi przeciąć rękaw futerka - jedyne go mojego ciepłego okrycia. Nie pozwoliłam na to — z trudem mi zdjęto to futerko i rękę złożono pod narkozą. Złamanie było skomplikowane i z przemieszczeniem ale wszystko się dobrze zrosło a ja do tej pory nie odczuwam żadnych bóli w tej ręce. W gipsie nosiłam rękę przez 6 tygodni i to była makabra bo ani dzieci uczesać ani siebie a też nosiłam dwa warkocze nad uszami które podwijałam w spód i to była moja fryzura. Tulu nas czesał ale b. niewprawnie. Babcia już wtedy nie żyła.

Choinki świąteczne

Ja chyba w tych ciężkich czasach byłam bardzo zaradna i starałam się jakoś ten „dom” utrzymać no i na każde święta była choinka. W jedne święta za okupacji niemieckiej było ogłoszenie, że pod żadnym pozorem nie wolno mieć choinki a już zgrozą było samemu ją przynieść z lasu. Dwa uparte stworzenia Gena Mojkowa i Gena Duda poszły do najbliższego majątku niemieckiego. W ogrodzeniu parkowym znalazły dziurę i wycięły w parku dwie piękne choinki. Była już późna noc gdy każda z nas przyniosła dzieciom choinkę. Wielką radością była dla nas prasa podziemna. Często już te gazetki ledwo się na zgięciach trzymały, po przeczytaniu oddawaliśmy sąsiadce naturalnie tylko Polce. Przepisywało się różne przepowiednie i one nas bardzo krzepiły — „nadzieja jest matką głupich” Mamy je jeszcze — może mi się uda to przepisać je dzieciom. Och jak czekaliśmy końca wojny. Moimi najmiłszymi marzeniami było w myślach witać żołnierzy polskich i w głębi duszy byłam pewna tego a maszerujących Niemców uważałam od początku za przegranych.

Jakoś udało mi się nawiązać kontakt z Nusią, która była wtedy w Zmigrodzie. Jej było o całe niebo lepiej niż nam, ale nie bardzo mogła nam przyjść z pomocą bo paczki z Gubernatorstwa można było zaledwie 25 dkg. posyłać. Nusia przysłała mi coś 2 razy po paczusce z nowymi pończochami. Naturalnie że zaraz je sprzedałam a za te pieniądze kupiłam piecyk żelazny o jednej "fajerce", on nas bardzo ratował bo postawiłam go w pokoju i dlatego równocześnie nas grzał i mogłam na nim gotować. Zapomniałabym napisać o jednej ważnej rzeczy. Dali nam z Muzeum Słowackiego na przechowanie rękopis Balladyny. Pismo

Słowackiego było jak peretki, równe, wyraźne, na wspaniałym papierze. Oprócz tego były też tam i wiersze jak np. "Smutno mi Boże", które Słowacki ilustrował piórkiem. Widać, że był w całym tego słowa znaczeniu artystą. Nie wiedziałam gdzie ten skarb trzymać. Między książkami bałam się, że w razie rewizji znajdą ten rękopis a przecież schowawszy go pod materace tak samo go narażałam. Owinęłam go w lniane płótno i od czasu do czasu przeglądałam. Jedyną rzeczą której Niemcy nie likwidowali to było Muzeum Słowackiego znajdujące się w dworku w którym urodził się Słowacki. (Obecnie władze Sowieckie zrobiły w tym domku bibliotekę a eksponaty w postaci mebli złożyli na strychu nad ogólnym muzeum. W tym muzeum jest tylko mała salka z dwoma gablotami w których znajdują się jakieś pamiątki po Słowackim). Kustoszem za Niemców był dr. Kryński, on był kaleką ale bardzo wykształconym człowiekiem, miał młodą i ładną żonę. Byłam w tym muzeum kilka razy i ogromnie mi się tam podobało, cisza, idealny porządek, Koło domku rosły jabłonie, dostawaliśmy z nich jabłka. Byliśmy trzy lata temu w Krzemieńcu i wszystko zwiedziliśmy. Widać wyraźnie że niszczą wszelkie pamiątki i ślady polskości. Jeśli już jestem przy sprawach kulturalnych to muszę jeszcze wspomnieć o losach olbrzymiej biblioteki która znajdowała się przy Liceum im. T. Czackiego. Były w niej wszelkie nowe wydawnictwa i oprócz tego tak zwane czarne i białe kruki naszej literatury. Gdy Bolszewicy wkroczyli do Krzemieńca - Tulu pracował w Muzeum (był kierownikiem działu przyrodniczego) więc miał wstęp do budynków licealnych. Przyszedł pewnego razu i o mało jak to się mówi mi płakał bo widział jak Bolszewicy rozpalili na dziedzińcu ognisko i palili i darli piękne książki. Tulu ukradkiem przyniósł trochę książek ale jak uciekaliśmy z Krzemieńca to wszystko przepadło. Rękopis Słowackiego ratował jeden gość (nie pamiętałam jego nazwiska), któremu udało się przedostać do Warszawy. Słuch o rękopisie przepadł. Gdyby został u nas byłby ocalał.

Dalej o Muzeum. Do wojny Tulu po prostu życie stawiał nad kolekcjonowaniem (teraz dalej to czyni). Jako mały chłopiec zaczął od pudełek po zapałkach. Potem zbierał książki, chemikalia, rośliny i owady (obecnie znaczki, gazety no i książki). Owady zbierał z wielkim zapałem i zamiłowaniem. Gabloty robił mu stolarz na nasz koszt. Owady miały do dziesiątych milimetra ustawione czółki, nóżki, większe owady były preparowane, a np. gąsienice nadmuchiwane. Nocami polowaliśmy oboje na Ćmy. Każdy spacer połączony był albo z łapaniem owadów albo ze

zbieraniem roślin. Nawet mała Lila zwracała uwagę na owady które nazywała „eku”. Ja czasem krzywo na to patrzyłam bo nam się nie przelewało a gabloty dużo kosztowały. Było tych gablot 32 sztuki. Z chwila wybuchu wojny Tulu skomasował te gabloty v domu. Jeden pokój był cały nimi obwieszony. W każdej gablocie, znajdowała się ampułka ze środkiem molobójczym. Gabloty są bardzo szczelne. Jak uciekaliśmy z Krzemieńca Tulu te gabloty dał do Muzeum „na przechowanie” i tak zostały do dnia dzisiejszego. Jak byliśmy z Tulem trzy lata temu widzieliśmy je - są pięknie zachowane. Tulu miał teraz zamiar otworzyć je ale mu odradziłam z obawy aby właśnie po otwarciu nie dostały się tam bakterie i nie zniszczyły owadów. Są to bezcenne zbiory. Cała satysfakcja v tym, że pracownicy obecni odnosili się do Tula z wielkim szacunkiem i odpowiedzieli urządzenie wielkiej wystawy owadów z portretem Tula. Oprócz tych gablot znajdują się też w muzeum rośliny zebrane przez Tula. Jest coś około 2 tysiące. Obecni pracownicy piszą do nas i wypytawali Tula kto był założycielem Muzeum, naturalnie że zamordowany przez Niemców prof. Mączak a nie p. Cynkałowski, który się podaje na założyciela.

Wyplakałam się w czasie pobytu w Krzemieńcu. Mnie się bardzo Krzemieniec podoba. Tam urodziło się dwoje naszych dzieci, tam znajduje się grób Babci. Lili urodziła się w Żółtkwi, która obecnie przechrzczona jest na „Niesterow”. Nas tam wszyscy witali gości, nawet p. Turkowa zjadła Ukrainka dała nam stoik miodu, ale co z tego gdy wszyscy czekają na Niemców. Dla mnie wszystko to wywołało wrażenie jakbym w grobie przebywała. Zdawało mi się chwilami że czuję zapach trupów, A wszędzie brudno, brzydko. Nasi krewniacy mieszkają w starych, zatęchłych domach. Stare Brody to jedna ruina, drogi rozjechane, doły, błoto, kurz. Drzewa powycinane. Z domku Babci ani śladu. Wogóle tam ludzie b. mało się budują a te nowe budynki to takie domki kombinowane, bez ogrodzeń. Sklepy, brudne, marne. Ludzie bardzo źle ubrani. Kobiety zaniedbane, otyłe. Drzewa powycinane. Kremieniec stosunkowo na zewnątrz mało zniszczony i czysty bo to zawdzięcza zjazdowi naukowemu. Cmentarze zarośnięte - toną v pokrzywach, porywane tabliczki z grobów polskich. Cerkwi greko-katolickich nie ma, Są tylko cerkwie prawosławne, chodzą do nich tylko stare kobiety. Pracującym, ani młodzieży nie wolno chodzić do kościoła. Kościół kat. w Brodach zamieniony został na szkołę wych. fizycznego. Kościół licealny v Krzemieńcu nabity deskami. Kościół katolicki parafialny otwarty jest raz na miesiąc. Klasztor w Podkamieniu

zamieniony jest na dom dla obłąkanych. W Podkamieniu na drogach leżą pobite piękne figury świętych. Autobusy brudne, rozklekotane. Jadłodajnie ochydne. W sklepach coś wartościowego można dostać tylko za łapówkę. Nie wierzyłam Tulowi jak opowiadał o suszącym się na gościńcach zbożu, aż sama zobaczyłam na własne oczy. Wszyscy piją wódkę. Rozwody na porządku dziennym. Ja wiem że, rządowi obecnemu na tych ziemiach nie zależy, ale gdyby Ukraińcy byli bardziej kulturalni nie byłoby tak. Nie chcę już tam więcej jechać. Tula tam ciągnie ale niech jedzie sam.

Nasza ucieczka z Krzemieńca.

Na „gospodarstwie” zostawiliśmy Unoldową Marię. Ona też wkrótce po nas uciekła i gospodarstwo przejęła Gena Majkowa. Co się z meblami stało - nie wiem, a było ich dosyć sporo bo były umeblowane trzy pokoje. Część pościeli, naczynia i książki zładowaliśmy w skrzynie i kufry i zostawiliśmy u sąsiadów „na przechowanie”. Musieliśmy uciekać - dookoła Krzemieńca czerń ukraińska. W Krzemieńcu szalejący Niemcy. Współpracownicy Tula - Polscy byli jak groch wyszukiwani przez Niemców. Lada dzień mógł Tulu nie wrócić z muzeum do domu. Dzieci dawno prosiły mnie o kotka. Na dole w suterynach mieszkała kobieta. Jej kotka miała śliczne kocięta. Dostałam jednego - pięknego szarego. Nazwaliśmy go Szarusiem. Dzieci nie chciały zostawić kotka w Krzemieńcu i zabrały go ze sobą. Wszyscy potem mówili o kocie uciekającym z nami. Przedtem zbieraliśmy wiadomości adresy potrzebne w czasie ucieczki. Gotówki mieliśmy bardzo mało, gdyż Ukraińcy nie chcieli kupować to wiedzieli i tak, że naszego dobytku nie zabierzemy ze sobą, zresztą te hieny miały zosyc po Żydach. Zabraliśmy z sobą resztkę ubrań, trochę pościeli. Tulu porabiał dużo swoich kłamorów, jak mikroskop, jakieś lustro specjalne, pensety i t. p. Teraz Tulu mówi że niepotrzebnie to brał ale wtedy trudno mu się było z tym rozstać. Najważniejsze z były dokumenty i fotografie. Ja zabrałam czajnik który mi moja mama kupiła jak szłam na posadę a który nam jeszcze do dzisiaj służy. Najęliśmy furmankę załadowali nasz „majątek”. Dzieci też wsiadły na nią z kotkiem i małpką zabawką, my z Tulem szliśmy piechotą w nieznane, straszne. Pozwolenie na wyjazd nie otrzymaliśmy ale na dworcu kolejowym wsiedliśmy do pociągu na „gapę”. W tym samym przedziale siedzieli jacyś Niemcy ale udawali, że nas nie widzą. Tak dojechaliśmy do Dubna. Wyciągnęliśmy manatki i założyli obóz w poczekalni. Niby tam jakiś

kolejarz miał nas ulokować w pociągu zdążającym do Brodów gdzie pracujący w tym czasie na kolei brat Tula - Aldku oczekiwał na nas, ale tu jeden pociąg za drugim odjeżdża a my siedzimy na stacji. Tulu zemdłał. Jak Go ocudziłam tak rada w radę i Tulu poszedł do kolejarzy i pokazał im złotą pięciorublowkę - pomogło. Wpakowali nas do pociągu, ale co z tego kiedy w Radziwiłowie kazali nam wysiadać. Była to graniczna stacja między tak zwaną Ukrainą a Gubernatorstwem. Następna stacja to już Brody a w nich Aldku. Stacja była pusta a my sami z górą manatek i z dziećmi na środku. Podszedł do nas kolejarz Polak i poradził prędko peron opuścić bo jak nadejdzie zmiana a to byli Ukraińcy to przepadniemy. Ciągniemy jak możemy manatki i dzieci do najbliższego domu. Mieliśmy szczęście bo to był dom polskiego kolejarza. Zainstalował nas w pokoju z którego tego samego dnia wynieśli zwłoki na cmentarz zamordowanego przez Ukraińców syna tego kolejarza. Tak już dobrze po południu zjawiał się kolejarz z Brodów który zabrał do towarowego pociągu do budki kolejarskiej Lilę i Otusia. Zamknął je a ja się okropnie bałam tego rozstania. Dzieci szczęśliwie dojechały zabrał je Aldku który podobno płakał jak je zobaczył. My zostaliśmy sami z Anią w Radziwiłowie bo naszych gospodarzy nie było. Nagle pod wieczór usłyszeliśmy strzelaninę i to bardzo blisko. Położyliśmy się na ziemi pod oknami i czekaliśmy. Nagle ktoś zaczął durnować do okien, nastraszyliśmy się ogromnie bo myśleliśmy że to bandyci, aż usłyszeliśmy głos; panie Duda – proszę otworzyć. Ten kolejarz młody, wysoki specjalnie po nas przyjechał. Porwał Anię na ręce a my tylko walizkę z dokumentami i fotografiami i popędziliśmy za nim do czekającej na nas lokomotywy. Na torach zatrzymał nas Niemiec chwilę, ale ten kolejarz energicznie odpowiedział, że ratuje nas przed bandytami i tak dobiegliśmy do maszyny. Oni umyślnie po nas przyjechali, podobno ten kolejarz wiele rodzin przeprowadził do Gubernatorstwa do ewakuowania i sam zginął. Wysiedliśmy nocą przed stacją i poszli do umówionego domu spać. Rano poszliśmy do Aldków gdzie już na nas czekała Lila i Oluś. Niby bezpieczni a biedni, bezdomni, bezradni. Cały nasz dobytek został w Radziwiłowie i dopiero potem ten kolejarz przeprowadzając się do Brodów przewiózł i nasze „skarby”. Otrzymaliśmy za opłatą „lewe” kenkarty (odpowiedniki dowodu osobistego), i czekaliśmy na Nusię która miało po nas przyjechać ze Zmigrodu. Jak nas Nusia zobaczyła to rozczarowała się bo myślała że przyjedzie bądź co bądź rodzina profesora a tu my z Tulem byliśmy chudzi, szerniali ubranych "pożał się Boże" i Troje mizernych

dzieci. Chodziliśmy po raz ostatni po ogrodzie na starych Brodach, spaliśmy pod rodzinnym dachem Tula. W tym domku w czasie ferii ochrzczany był Otuś. Do tego domku przyjeżdżałam za panieńskich czasów a potem jako mężatka, w tym domku przebywała przez jakiś czas Lila pod opieką Babci. W tym domku po raz pierwszy i ostatni była Ania. Jedliśmy owoce z drzew które sadził Tulu. Domek był uroczy. Posiadał ganeczek obrośnięty winem, sionkę z którego wchodziło się do pokoju i kuchenki po prawej stronie a po lewej były dwa pokoiki, te izdebki oddzielone były cienką ścianką nie sięgającą do sufitu. Podłogi drewniane, czyste żółte, ściany białe. Na ogrodzie bzy, akacje jeśiony, drzewa owocowe i dużo kwiatów. Trzeba się było pożegnać z Aldkami (oni mieli wtedy tydzień synów) z domkiem i jechać dalej - do Zmigrodu K/Jasła. Drogę mieliśmy okropną. We Lwowie w Podzamczu długo czekaliśmy i do pociągu dochodził swąd palonych ciał. W pociągu niesamowity tłok, dzieci cały czas stały na ławkach za plecymi ludzi. Na rękach trzymały kotka, który im się wyrwał. Z trudem dojechaliśmy do Jasła a stamtąd jakimś ciężarowym autem do Zmigrodu. Mieszkanko cioci czyste, przytulne, spokojne, ale niestety Julek – mąż Nusi był już wtedy chory na gruźlicę. Gruźlica opanowała już cały organizm, już chodzić nie mógł bo i nogi też miał chore. U Nusi przebywała w tedy siostra Julka Zosia Mroźkowa – matka znanego później pisarza Mroźka. Pamiętam że na kolację były wtedy knedle ziemniaczane. Nie pamiętam po ilu dniach, chyba zaraz na drugi dzień przenieśliśmy się na „swoje”. Była to jedna izba w pożydowskim domu. Oprócz nas mieszkali tam jeszcze dwie rodziny Przewłoccy i Brożynowie. Oni mieli dwuizdebne mieszkania. Brożynowa pochodziła ze Zmigrodu i nawet mieli kawałek własnego pola. Przewłoccy to uchodźcy. P. Przewłocka pracowała w mleczarni. Przewłocki pisał wiersze. Brożynowie mieli małą córeczkę Halinkę, a Przewłoccy małą wychowaną Janeczkę chorowita i bardzo nieodpowiednio ubraną i chowaną, w czasie frontu umarło to dziecko. Tulu pracował też w mleczarni i wtedy to był raj żywnościowy. Było dużo mleka, dostawaliśmy śmietanę i masło, chleb był a nawet mięso. Nusia dała nam trochę materiałów z których poszyłam Ani i Lili płaszczyki, Otusia a nawet Kazika Unolda (on był też u nas) obszyłam ze starych ubrań. Ja też uszyłam sobie aż dwie sukienki. Jednym słowem raj w porównaniu z Krzemieńcem. Pamiętam moją pierwszą drogę do krawcowej, która mieszkała poza Zmigrodem. Musiałam się zmuszać do tego spaceru bo przecież w Krzemieńcu było to niemożliwe z powodu band

ukraińskich. Przed samą ucieczką z Krzemieńcza spaliśmy z siekierami pod łózkami aby w razie napadu bronić się. Już niedaleko nas zamordowali naszego znajomego Góreckiego. Nasze „meble” w Zmigrodzie były przeważnie z obrzynków tartacznych pozbijane przez Tula. Były dwa „tapczany” i szafka z desek a Nusia wypożyczyła nam 1 łóżko żelazne, stół małą szafkę i kilka krzesel. Było to nie wiele większe a może taka sama jak nasz pokój obecny. Jeden tapczan wynosiło się na dzień do sieni. Spał na nim Kazik U. On miał być u Nusi, ale zabrałam go do siebie bo chory Jurek musiał mieć spokój a Kazek był strasznie gadatliwy, po drugie nie chciałam aby wygłodzony, wynędzniały chłopiec stykał się z gruźlikiem. Na półkach jak zwykle gdzie jest Tulu leżały już stosiki gazet. Świeciliśmy lampę. Wieczorami siedzieliśmy przy stole, kot spacerował nam pod brodami lub po naszych ramionach. Ja jak zwykle nie próżnowałam, często gotowałam u Nusi obiady, pomagałam Jej pracować, u nas też trzeba było szorować podłogę, gotować i t.d. Uczyłam Bognę i Otusia a Lila była nawet na kilku lekcjach fortepianu i chodziła do szkoły. Jeździłam też do Jasta z masłem dla Niemców, przy tej okazji zawsze coś woziłam na handel, najczęściej cielęcinę, śmietanę, masło (był to towar Nusi), ale i dla nas tyle zawiozłam że na ten towar dentysta naprawił mnie i Lili zęby. Były to niebezpieczne wyprawy bo często przy wjeździe do Jasta rewidowali nas Niemcy. Ja w tym celu zabierałam Lilę i pod siedzenie chowałam towar w tyle były skrzynki z masłem do magazynu. Nusia zawsze wyczekiwała ze strachem na nasz powrót. Tulu często zabierał dzieci na spacer - zbierali ćcereń z którego robiłam doskonały sok. Otuś znowu zachorował na zapalenie płuc ale jak zwykle szczęśliwie wyszedł z tego. Zmora to była choroba Julka. Nusia jak to się mówi „na głowie stawiała” aby go ratować, ale nieubłagana gruźlica pożerała Go. Był to bardzo przystojny gość, był nauczycielem, ale jeszcze przed wojną Ojciec ściągnął Go do mleczarni (to była ich własna). Jak wojna wybuchnęła Nusia z Julkiem objęły placówkę w Zmigrodzie a rodzice Julka zostali w Bożęcinie. Kazik U. była w Zmigrodzie do Pierwszej Komunii, a był rówieśnikiem Lili. Sielanka ta trwała niedługo - od wschodu zbliżał się front. Niemcy dostawali ataków furii. Armia Krajowa (A-K) miała pełne ręce roboty. Prawie cała inteligencja żmigrodzka należała do AK. W dzień pracowali, w nocy szli na akcje a tu już Niemcy kazali kopać okopy. Ja ze względu na małe dzieci byłam z tego zwolniona. Tulu jako pracownik mleczarni też. Jakiś zdrajca wydał Akowców. Gestapowcy zrobili na nich obławę. Front był już blisko — do Zmigrodu jechał „teatr”,

„Artystki” mieszkaly po prywatnych domach. Jedna z nich mieszkala u Brożynów który należał do AK. Na wszelki wypadek wykroił pod podłogę trochę ziemi aby się schować w razie rewizji. Noc była parna, my spaliliśmy przy otwartym oknie. Nagle słyszę: „Das Fenster zumachen, aber schnell.” Zamknęłam okno a gestapo już wali w drzwi sieni. Otworzył im Przewłocki a Niemcy prosto do nas. Zaświecili latarkami, zobaczyli Tula w łóżku i mówią „Gut, gut der Mann ist zu Hause” i wyciągnęli spis skazanych. Pytają o nazwisko Tula, które jednak nie figurowało w ich wypisie. Zrobili jednak rewizję i kazali się Tulowi ubrać i zabrali go do Brożynów. Brożyna postyszawszy rumor u nas i w sieni błyskawicznie wskoczył do dołka który znajdował się v rogu kuchni. W tym miejscu stał stół nakryty obrusem. Niemcy wybili po twarzy „artystkę” za to że nie dopilnowała Brożyny, po prostu szaleli. Kazali Tulowi i Przewłockiemu przerzucić w piwnicy kawałek węgla. Kłuli bagnetami każdy snopek słomy na strychu. Brożyna znikł a dom już od zmroku był pod obserwacją. Zabrali Tula i Przewłockiego i kazali się prowadzić pod wskazane adresy. Tula wiedział o kogo chodzi ale szczęśliwie wykręcił się, że jest obcym, że nikogo nie zna i zaprowadził do takiego domu który nie był na liście. Zbili Tula i kazali iść do domu, Tula przyszedł zlany potem bo do ostatniej chwili był pewny że go zabiją. Moja reakcja to był nieustanny wrzask. Niemcy doskakiwali do mnie i uciszali mnie jak czarownicę a pewnie tak wyglądałam bo byłam w czarnej kombinacji i miałam rozczochrane włosy. Na drugi dzień mówili mi że tym krzykiem zaalarmowałam sąsiednie domy i podejrzani pouciekali. Jak zabrali Tula to już pewna byłam, że Go nigdy nie zobaczę. Niemcy zabrali Brożynową, i powiedzieli, że jeżeli się jej mąż nie zgłosi do rana to ją zabiją. Tula i Przewłockiego nie było – zostałam sama z dziećmi i małą Halinką Brożynówną. Niemcy kazali zostawić światło i co chwilę wpadali do domu razem z „artystką”. Mała Halinka miała kotyskę przytwierdzoną do podłogi – musiałam siedzieć przy niej i kotysać ją. Po pewnym czasie usłyszałam z dołka w kuchni głos Brożyny który mnie prosił o podanie ubrania, bo był tylko o samej koszuli. Ubranie Brożyny leżało w kuchni, ale ja mu podałam drugie ze szafy. Przyszedł nad ranem Tula — ogromna ulga. Powiedziałem mu o Brożynie. Rano wpadła lamentująca rodzina i zabrała Halinkę ale o Brożynie nic im nie mówiłam. Dopiero jak warta spod domu odeszła podałam mu pod stół śniadanie i trochę papierosów i Brożyna przez ogrody uciekł do lasu. Brożynową i kilka innych zakładniczek oddano na front do kuchni — po pewnym czasie zaczęły molestować żołnierzy no i wróciły

wszystkie do domu. Potem był zamach na Hitlera. Przez Zmigród maszerowało wojsko niemieckie — ja stałam w progu a żołnierze machali do mnie rękami i wołali, „Matka! das Krüg ist cu ende.” Niestety dla nas to dopiero zaczął się „Krüg”. W czasie tej oblawy zabrali kilka osób ze Zmigrodu i rozstrzelali. Front się zbliżał — jak już domy zaczęły się trząść od wybuchów wtedy my zrobiliśmy największe głupstwo z Nusią. Zabraliśmy najcenniejsze rzeczy, chorego Julka i dzieci i pojechaliśmy do Kątów (bliżej Przetęczy Dukielskiej) nad samą Wisłokę w nadziei że front nas ominie a tu było wręcz odwrotnie.

Kąty

Przyjechaliśmy pewnego pięknego wrześnieowego dnia do Kątów. Słońce, owoce na drzewach. „Obóz” założyliśmy u znajomego gospodarza - Wokurki, w nowym domu pod górą. Ciocia Nusia nas odwiozła i zawróciła do Zmigrodu ratować i zabezpieczać mienie. Tymczasem front momentalnie zbliżył się i objął Kąty w swój zasięg. Część mieszkańców wraz z bydłem schroniła się w lasach, część po sklepionych piwnicach. My rozłożyliśmy kilimy na podłodze i „plackiem” na nim położyliśmy się: Chory Julek, jego córka Sześćioletnia Bogna, Tulu, Ja, Lila, Otuś i Ania. Gospodarze nasi uciekli do lasu. Dom drży od wybuchu kul, tynk leci ze ścian i obsypuje nas pyłem, w izbie biało od niego. „Ni stąd, ni z owąd” wchodzi do domu pierwszy żołnierz radziecki, otwiera okno i ustawia w nim karabin maszynowy i strzela. Błagam go by sobie poszedł z tego domu bo tu są dzieci i ciężko chory człowiek. Nie pomogło. Poradził nam aby dom opuścić, ale jak Julek chodził o kulach, małe dzieci a na polu świszczą gęsto kule. Dokąd iść ?! Do lasu za daleko, do jakiejś piwnicy nie wiemy jak daleko. (Piwnice były oddzielne, prawie całkowicie wkopane w ziemię, tylko dachy okrągłe sterczały nad ziemią). Z bólem serca zostawiamy Julka (na Jego usilne prośby), dzieci ubrały na siebie płaszczyki, myśmy zebrali tylko walizkę z dokumentami i dostownie pomiędzy kulami skradamy się, biegniemy chcąc dotrzeć do jakiejś piwnicy, Natknęliśmy się chyba [we] duże i nikt nas nie przyjął. Pod daszkiem jednej piwnicy stał chłop, wspaniałomyślnie poradził nam abyśmy się przed wykrotem drzew nad Wisłoką. Rzeczywiście nad Wisłoką rosną wysokie drzewa, zbiegamy ze stromego brzegu i wtulamy się w zagłębienie pod korzeniami. Nad nami Bolszewicy po przeciwnej stronie Wisłoki Niemcy. Walka! Kule tuż u

naszych stóp pluszczą, upadając do wody. W pewnym momencie spoza zrębu domu po drugiej stronie Wisłoki wyłania się postać Niemca z karabinem gotowym do strzału. Zdrętwiałam bo celował w naszą stronę. Może się jednak połapał że to cywile z dziećmi – zostaliśmy przy życiu. Pod tym wykrotem siedzieliśmy prawie do zmroku. W między czasie Tulu dwa razy „odwiedził” Julka. Chociaż dom został bez szyb Julek jednak ocalał. Pod wieczór dostaliśmy się do piwnicy znajomych. Była ona maleńka, wzdłuż jednej ściany stały kufry z odzieżą, pościelą gospodarzy. Wolną połowę wyścieliliśmy kilimami. Dwie trzecie piwniczki to jedno łóżko we którym spało pokodem czasem 13–14 osób. Po za matymi dziećmi nikt nie mógł wyprostować nóg. Biedny, wysoki, chory Julek! Piwniczka szczególnie nocą trzęsa się w posadach, tuż pod dzwiami przejeżdżały ciężkie tanki. Gdyby tak granat trafił w dach zostalibyśmy wszyscy pogrzebani. Rano było ciszej. Wtedy wychodziliśmy z piwniczki. Obie z Nusią czesałyśmy i myłyśmy dzieci. Gotowały w chacie, ukradkiem na spieszki dłubałyśmy kartofle a nawet męły na żarnach zboże. Tłuszcz w postaci przetopionego masła miałyśmy. Przed samą ofensywą kupiłam małego prosiaczka, naturalnie został w Zmigrodzie, ale nasz znajomy Jan Nowak (obecnie jest sędzią), zabił go i przwiózł nam połówkę do Kątów. Gotowałyśmy „ein Topf” i tylko Julek jadł osobno, reszta z jednego garnka. Kąty z powrotem przeszły do rąk niemieckich. Po wiosce wałało się pełno trupów żołnierzy. Tulu musiał je grzebać. W sąsiednim domu znajdowała się tak zwana „Szeibszuba”. Przyłapanych cywilów pędzili Niemcy do budowy mostu który bombardowały samoloty radzieckie. Tulu był kilka razy tam zapędzany. Niemcy łapali po całych Kątach kury, które kazali mnie i Nusi skubać. Jednego razu zaczęłam psioczyć, nazywać Niemców Szwabami i t.p. Jeden z nich który drzemał oparty o stół w kuchni, rozumiał po polsku, poderwał się do mnie z rewolwerem - ja w nogi do piwnicy — Niemiec za mną, dopiero Tulu zagroził mu drogę i zaczął mię usprawiedliwiać — pomogło, bo Niemiec machnął ręką i odszedł. Wśród kręcących się Niemców, byli też kulturalni a nawet z sercem. Czy nie przesadziłam z tym sercem? Ale fakt faktem - Jeden z tych Niemców prawie codziennie brał Anię na ręce, zanosił do magazynu-auta i nakładał jej albo cukru, albo jakichś konserw. Front się przedłużał, dla nas to były wieki. Postanowiliśmy wydostać się z Kątów. Ale jak? Do punktu z którego możnaby autem wojskowym opuścić front daleko, szczególnie dla chorego i kulejącego Julka, no a tu do tego małe dzieci i trochę manatek, Nusia dowiedziawła się

że Niemiec, od którego zależy nasz los obchodzi immieniny czy urodziny. Nazbierała po sąsiednich ogródkach trochę jesiennych kwiatów i poszła składać życzenie. Przyszła z obietnicą, że nas wywiozą z Kątów, tylko my na własną rękę musimy się do punktu dostać. Na piechotę nie można bo Julka kulawy, małe dzieci, manatki. Jakiś środek lokomocji zależał od dowódcy „szreibsztube”. To ja miałam się o tą furmankę wystarać. Poszłam do Niemca a ten zabiera się do amorów - na szczęście przyszedł się zameldować żołnierz frontowy i to mię uratowało. Furmankę dostaliśmy. Wyładowaliśmy ją naszym dobytkiem, usadowiliśmy na niej chorego Julka i małą Anusię, Lila, Oluś i Bogna uczepili się tytu furmanki i na stojąco jechali. Nie ujechaliśmy daleko gdy Sowievi churaganowym ogniem zaczęli ostrzeliwać drogę. To było piekło. Porwaliśmy Anię pomogli błyskawicznie zejść Julkowi i schroniliśmy się w najbliższej piwnicy. Tymczasem nasz furman popędził konie z naszym dobytkiem do miejsca odjazdu aut. Znowu okropny problem jak dostać się tam z chorym Julkiem i małymi dziećmi. Niedaleko był dorożny punkt opatrunkowy. Poszłyśmy tam z Nusią. Główny lekarz wściekły, żył zasadniczo czarną kawą papierosami bo bez przerwy przeprowadzał amputacje rannym Niemcom. Jakoś uprosiłyśmy kogoś z personelu pomocniczego i dali nam sanitarkę którą przyjechał Julek. Dzieci i my poszliśmy piechotą. Nasze rzeczy były zwalone w pustej stodole znowu atak. Lila i Otuś byli wtedy v stodole a dachówki z niej sypały się na boisko. Naturalnie i z tego wyszliśmy cało, Ale żeby już nas całkiem pogrzyć puścił się ulewny deszcz, błoto po kostki i my po tym błocie znosimy manatki do czekającego na nas auta ciężarowego. Dzieci jak się wgramoliły pod budę auta to koło każdego z nich dosłownie utworzyła się kałuża. Zadne z dzieci ani my nawet nie kichnęliśmy. Wreszcie wyjechaliśmy poza linię frontu - aż się człowiek głupio poczuł w tej ciszy. Dowieźli nas już późną nocą do jakiejś miejscowości i znaleźliśmy się w pustej izbie ze słomą i sianem na podłodze. Niemcy którzy siedzieli w dalszej izbach dali nam gorącej czarnej kawy i położyliśmy się spać pokotem. Rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Szofer był trochę pod gazem i chciał nas dowieść pod sam dom w Turzy K/Gorlic. W domu tym mieszkał brat Julka nauczyciel v Turzy. Już przed samym celem byłaby się ta jazda tragicznie skończyła. Droga była śliska, gliniasta, prowadziła pod górę z lewej i prawej strony stromy spadek tak zwane „paryje”. Auto było tuż nad przepaścią gdy Ania narobiła strasznego wrzasku i niefortunny kierowca zatrzymał motor. Wysiedliśmy ostrożnie aby auto się nie wywróciło i trochę

na piechotę, trochę na przywiezionej przez Kazika Kędziora furmance dostaliśmy się na miejsce przeznaczenia. Nusia z Julkiem i Bogną zamieszkała maleńkim pokoiku u Kazika a my niedaleko u jednej wdowy.

Pobyt w Turzy.

Ciocia Nusia jak mogła starała się o żywność i pielęgnowała chorego męża. My byliśmy zdrowi, ale każdy dzień był bardzo trudno przeżyć.

Wymieniałam na żywność resztki łachów, chodziłam do kopania ziemniaków, Tulu chodził po opał do lasu. Kopanie było dla mnie ciężką pracą. Chłopi zbierali się i nawzajem prowadzili wykopki. Byli wobec mnie syci i silni a ja chciałam wyjść z honorem i jak mogłam dotrzymywałam im kroku. Za codzienną pracę dostawałam dwukrotny posiłek i koszyk ziemniaków. Baby widziały, że jest mi ciężko i potem zostawiały mnie w kuchni w której gotowałam sutą kolację przeciętnie na 15-20 osób. Nasza gospodyni wraz z synami była zawszona nas też wszy nie mijały. Wieś była stosunkowo bogata i mimo kontygentów ludzie nie głodowali. Lila zaczęła w Turzy chodzić do szkoły. Jak ją nauczyciel zapytał dzieci co kto jadł na śniadanie - Lila powiedziała że „dziamę” bo tak tam nazywała się mieszanka. Dzieci wszystkie śmiały się z Lili. Myśmy nie mieli z nikąd pomocy. Czułam, że nie wytrzymam długo w Turzy. Pewnego dnia pojechałam do Sącza na rekonesans. Jechałam ciężarowym pociągami w budce z kolejarzem i znowu amory, z których z trudem się wykręciłam. Chyba gdzieś po 10-12 latach przyjechałam wtedy do Sącza. Płakałam i śmiałam się na przemiany idąc ulicami. Poszłam na naszą „ulicę”. „Nasz” dom stał. Weszłam do obcych ludzi do „naszego” mieszkania. To było coś takiego jak „Fata-Morgana” na pustyni. Nieuchwytny miraż. Potem poszłam na Zawadę K/N.Sącza, w której do tej pory mieszkają krewni mojego Ojca: Zarębowie i Kumorowie powiedzieli nam, że nas przyjmą. Nie pamiętam jak się dostałam z N.Sącza do Gorlic skąd piechotą doszłam do Turzy (około 10 km). Po przyjeździe do Turzy poszłam do sołtysa prosić o furmankę. Nie dał. Tłumaczył, że jak nie wyjedziemy to będą nas musieli utrzymywać bo my już nic nie mamy a z głodu i chłodu chyba nie pomrzemy. Nie dał a przecież większość chłopów, a Turza to wielka wieś, posiadała konie. Sołtys wspaniałomyślnie poradził nam, abyśmy się zabrali z Niemcami, którzy tu przyjadą po siano. Nie mieliśmy innego wyjścia i w oznaczonym czasie podjechaliśmy furmanką naszej gospodyni (ciągnęły

furmankę krowy) pod dom sołtysa. Byliśmy tam około 11 a wyjechaliśmy już po ciemku. U sołtysa pachniała smażona jajecznica, był na stole chleb, mleko a my wyjechaliśmy o suchym chlebie. Niemcy wyładowali 2 furmanki sianem „pod sufit”. Na spód jednej włożyli nasze manatki (kilim, odrobinę pościeli, fotografie dokumenty i resztki ubrań). Na [drugą] myśmy ledwie się „wystyrmali” i kolebiąc się ruszyli v drogę. Niemcy chyba z nakazu śpiewali prawie całą drogę hymn polski, naturalnie kalecząc go bardzo - przegrywali i dlatego stawali się „patriotami polskimi”. Przyjechaliśmy gdzieś około północy do Gorlic. Niemcy wyładowali siano gdzie indziej i tam też pozostał nasz „majątek”. My pozostaliśmy z Niemcami na kwaterze. Pczęstowali nas gorącą kawą i chlebem. Rano zaczęliśmy się rozglądać za środkiem lokomocji - do Sącza. Kolej opadała gdyż nie dostaliśmy przepustki. Staliśmy długo na drodze nim jeden Niemiec zgodził się pojechać po dzieci i nasze rzeczy i odwieźć do N.Sącza. Mieliśmy szczątki wódki i słoniny i obiecaliśmy to szoferowi. Przyjechaliśmy do Sącza - wysiedli na rynku — Niemiec popatrzył na nas i nie wziął zapłaty. Ja poszłam do p.Doroszukowej na ulicę Różaną nr 3. Niestety nie było jej w domu, dzieci zamknięte wyglądały przez okno na balkon. W oczekiwaniu na p. Doroszukową zeszliśmy do szewca który na parterze miał warsztat. Zmęczona do ostatnich granic powiedziałam mu kilka słów prawdy gorzkiej o niektórych Polakach. Obraził się ten wielki patriota i nawet wodą nas nie pczęstował. Nadeszła p. Doroszukowa, nakarmiła nas „czem chata bogata” a u niej była nędza. Przespaliśmy jedną noc i ja rano poszłam na Zawadę, Skąd przyjechałam furmanką i zabrałam rodzinę do krewnych.

Zawada.

Zamieszkaliśmy najpierw u Kumorów. Było to bezdzietne małżeństwo. Mieli na wychowaniu Mietka Fręczka, którego matka - siostra Kumorowej umarła gdy Mietek był jeszcze małym chłopcem. Kumorowa to Zarębianka z domu - córka siostry mojego ojca. Kumor to stary, zarozumiały człowiek. Odnosił się do nas jak do intruzów - którzy mu spokoju zakłócali. Mieli trzy pokoje, nam odstąpili najmniejszy zaraz obok kuchni pokój, bez pieca. Jedliśmy początkowo wspólnie, wikt był bardzo prosty, ale to głupstwo, nam wszystko smakowało. Gorzej było, że Kumor chciał się nas pozbyć. Po przeciwnej stronie drogi mieszkali Józef i Maria Zarębowie. Józef to też syn

siostry mojego Ojca. Mieli oni aż 9 dzieci. Byli stosunkowo zamożni bo mieli 25 morgow ziemi i kawał lasu, ale byli przez wojnę strasznie wyniszczeni. Byli jednak o wiele serdeczniejsi i od Kumora który do tego był wójtem i mógł nam naprawdę pomóc. Zarębowie wybielili nam izbę, pożyczili dwie łóżka, stół na krzyżakach, ławę i dwa składane krzesła i znów mieliśmy swój własny „dom”. Starłam się o żywność ile możliwości na własną rękę - Kumor patrzył na nas z góry. Nie dowierzał że Tulu był prof. w Liceum Krzemienieckim, ja nauczycielką. Jednego razu upiekłam ciastek na sacharynie, zrobiłam herbatę i poprosiłam Kumora. Przy okazji pokazałam mu nasze dyplomy, najmłodsza pięcioletnia Ania zaprodukowała mu czytanie gazety no i trochę zaimponowaliśmy p. wójtowi. Postarał się o większy przydział mąki dla nas, o drewniaki dla Tula. Kumorowa dawała nam 1 l. wspaniałego mleka (na 5 osób). Po ziemniaki do piwnic chodziłam jak do swoich. Święta B. Narodzenia były wspaniałe bo było podostatkiem chleba, nawet była bułka, trochę mięsa w postaci zarobionej przeze mnie kury. Choinka ubrana kostkami cukru w bibułkach. Byłam na imieninach u jeszcze jednej Zarębianki Ludmiły to też było bezdietne małżeństwo też „zdebowate” ale najadłam się u niej do syta kiełbasy, ciasta i upiłam samogonem. Aby się odwdziaczyć Zarębom najpoczciwszym z tych wszystkich krewnych nauczyłam pisać i czytać dwoje ich dzieci Hankę i Józka (obecnie Hanka skończyła zawodową krawiecką wyszła za męża ma piękny dom i 3 dzieci. Józek przygotowuje się do egzaminu magisterskiego na zaocznych studiach). Przy okazji uczenia Zarębów chodziło na lekcje jeszcze dwoje dzieci sąsiadów no i Ania się też uczyła. Wszystko to trwało nie całe 3 miesiące, bo w styczniu 1945 r. (dokładnie 20 stycznia). Właśnie na kilka dni przedtem przybył na Zawadę jakiś oddział niemiecki, który wyniósł do Kumorów całego, zabitego prosiaka. Nie zdążyli go zjeść, musieli uciekać. Kumorowa zawołała mnie abym go „sprawiła”. Pierwszy raz w życiu zajęłam się taką robotą. Wzięłam brzytwę Tula i ogoliłam nią prosiaka a potem mi już pomogli go rozplatać. Dostałam od Kumorów całą połowę. Ćwiartkę dałam Zarębom a dla nas została ćwiartka. Była wspaniała wyżerka. Nadeszła noc, znowu kule Przez podwórze świstały jak jaskółki. Musiałam iść do studni po wodę to dosłownie koło samego ucha przeleciała mi kula. Władowaliśmy się z Zarębami do piwnicy, ale przesiedzieliśmy w niej tylko jedną noc. Ja nie mogłam usiedzieć spokojnie i wciąż wychodziłam z piwnicy i obserwowałam walkę. Zawada na górze. W dole N. Sącz, niebo było ciemno-granatowe rozświetlane gęsto pociskami.

Jedna straszliwa zmora - Niemcy, odeszli. Rano na Zawadę wkroczyły oddziały bolszewickie. U Zarębów i Kumerów było ich mrowie. Kradli dosłownie z pod rąk, gwałcili kobiety. Ja z racji władania ukraińskim językiem musiałam często interweniować w różnych sprawach u sąsiadów. U Kumorów zamieszkał sam pan kapitan z czego Kumor był niezmiernie dumny. Ustąpiono mu najlepszy pokój w którym stała komoda a w niej zamknięte w szufladzie dwie złote obrączki ślubne, złoty łańcuszek i duży złoty kieszonkowy zegarek. „Pan” kapitan musiał iść dalej na Berlin, ale przedtem podważył wierzch komody i zabrał „na pamiątkę” wszystko złoto. Takich różnych wypadków kradzieży była niezliczona ilość. W czasie działań wojennych został wysadzony w powietrze piękny zamek sądecki. Zamek wysadzono z rozkazu wojsk bolszewickich, całkiem niepotrzebnie. Za mojej młodości odbywały się na dziedzińcu zamkowym różne uroczystości. W salach urządzano wystawy obrazów takich malarzy jak Reguły, czy świetnego portrecisty Barbackiego (zginął z rąk niemieckich jako zakładnik). W lesku otaczającym zamek zbierałam podpieńki i gołąbki. Most na Dunajcu wysadzili Niemcy. Koniec mostu po którym spacerowałam ze swoim tatą jako dziecko a potem z koleżankami no i z Tulą jako swoim narzeczoną. Widziałam z brzegu jak Sowieci zakładali most pontonowy. Zima była lekka, woda duża, mętna. Żołnierz na moich oczach wpadł i utonął i nikt go nie usiłował ratować. W niedługim czasie „połatano”, posztukowano stary most i w takim stanie musiał jeszcze kilka lat służyć ludziom. Po rozebraniu go zawieszono części do Opola i tam nadal służy ludziom. Dla nas nastały już bardzo normalne czasy. Tulę już w styczniu rozpoczął naukę. Chodził z Zawady piechotą w drewniakach, często całym jego całodziennym jedzeniem był talerz „dziamy” z mlekiem. Nauka odbywała się w różnych domach po całym mieście, były też klasy w kamienicy w której przed wojną myśmy mieszkali. Lila zaczęła chodzić w Zawadzie do VI kl. a Otuś do II, Otuś miał ładne granatowe ubranko (przerobione z Tuli) i dlatego ubierałam go dla ochrony ubrania w „szewski” fartuszek, aż Otuś się zbuntował i nie chciał już w fartuszu chodzić do szkoły. Na wiosnę dzieci po całych dniach uganiały się po dworze. Jednego razu Otuś z Anią wpadli do gnojówki. Na Zawadzie też Ania z Otusem zachorowali na koklusz, szczególnie Ania ciężko go przechodziła. Zaczęłam się rozglądać za mieszkaniem w mieście. Było ogromnie trudno. Marysia Korpińska (dawna nasza koleżanka z tej samej ulicy) poradziła mi, że na Helenie Chętńskiej 3 jest domek pożydowski w którym mieszkają

poznaniacy i którzy wracają w swoje strony. Poszłam do Urzędu mieszkaniowego i przyznali go nam. Niestety tymczasem prędko wprowadziła się do niego p.Sekułowa z trzema synami i nie chciała się z niego ruszyć. Prosiłam w magistracie aby mi wyznaczono jakieś inne mieszkanie, powiedzieli jednak, że tę panią zaskarżą i ona musi się wyprowadzić. Sprawa poszła do sądu i p.Sekułowa dostała nakaz wyprowadzenia się. (Ona miała siostrę na tej samej ulicy p. Cieślówą i u niej miała mieszkanie) ale to nie pomogło a Tulu codziennie kilometrami chodzi z Zawady. Wpadłam na „genialny” pomysł załadowałam manatki na furmankę i wprowadziliśmy się do połowy domku przez okno (domek posiadał trzy pokoiki i kuchnię). Pani Sekułowa dopiero wtedy przeprowadziła się na mieszkanie do siostry a potem do pięknego mieszkania w gminie.

Chetmiecka 3.

Był to domek złożony z 3 pokoiów, kuchni i dużej werandy. Posiadał też i kawałek ogródka. Tulu uczył - ja z konieczności tylko gospodarzyłam - bo posadę naucz. dawali mi daleko we wsi - w Sączu mi nie chcieli dać. Ciężko było pod każdym względem, i pieniężnym i z powodu wszelkich wygód. Po wodę daleko, oświetlenie naftowe. W mieszkaniu „meble” składały się z dwu łóżek z Zawady (każde inne), pożyczyłam [inne] od dawnej koleżanki drewniane proste łóżko i była „sypialnia”, żelazne stało w drugim pokoiku. Był kłopot z siennikami po bo stonę trzeba było aż na Zawadę jeździć. „Etażerki” porobione były z paczek Unrowskich (były to paczki wysyłane przez USA dla głodującej ludności) dokładnie „United Nations Relief and Rehabilitation Administration” międzynarodowa organizacja utworzona w USA w r 1943 pod hasłem niesienia pomocy ekonomicznej ludności krajów niszczonych przez wojnę, rozwiązana w 1947 r. Firanki wisały na sznurkach. Drugi pokój posiadał łóżko żelazne, olbrzymi stół z internatu od Jezuitów i krzesła które poznosili nam uczniowie z dwoma nocnymi szafkami. Tulu zdobył gdzieś w szkole olbrzymią szafę, którą sużyła nam i za szafę na ubranie i częściowo jako spiżarka. Sami z Tulem wybieliliśmy mieszkanie (potem co roku przychodziła z Zawady Hania, lub mama Józi Kulawej - Przybyłowa). Ważny był ogródek z dwoma jabłoniąmi, kupiłam coś 2 krzaki „smorodyn”. Cieszyłam się bardzo tym ogródkiem i wkładałam w niego dużo pracy. Tutu

mało zarabiał. Chodziłam na Zawadę po ziemniaki. Nigdy nie przywieźli ani miarki chyba potem gdy zakupowaliśmy 3–6 m. na zimę i 2–3 kop kapusty. Ziemniaki te bezpłatnie kopałam sama no i naturalnie obładowywałam się nimi jak koń - plecak pełniutki i dwie torby i szłam z tym 6 km w jedną stronę. Często dosłownie nie miałam co dać dzieciom na kolację i wtedy pamiętam przy długich dniach czerwcowych szliśmy już spać. Udzielałam lekcji prywatnych. Przychodziły też różne matki prosząc o protekcje u Tula. Chciały coś dać — ja się wymawiałam a w duchu prosiłam Boga aby się uparty i prezent zostawiły. Kolejki za żywnością to tak jak dalszy ciąg wojny, to była plaga. Wydzielano po 1 kg czasem i po ½ kg cukru czy mąki i stój za tym godzinami w kolejce! Dzieci nie chciały stawać. Mnie często wypychano z kolejki - musiałam się kłócić, dzieci nasze były z tego powodu na mnie krzywe. Jak zaczęli kartkować żywność było trochę lepiej ale było jej za mało aby nie stawać całkiem w kolejkach. Z ubraniem makabra. Marysia Korpińska pracowała przy darach amerykańskich i coś z 3 razy przynosiła trochę ciuszków w ręcznej torebce. Czasem Ciocia Hela (pracowała w Kudowej a Jej najstarszy syn Kazik chodził u nas do liceum a potem wszyscy trzej chłopcy byli u nas) przysłała coś „ciuchów” poniemieckich i tak się radziło, ale krok za krokiem było co raz lepiej. Byliśmy coś 2 razy z dziećmi w Kudowej u Heli, która miała w stosunku do nas piękne mieszkanie aż się nie chciało od niej wracać do naszych gratów. Mnie bardzo często bolała głowa, wogóle po południu czułam się jak „groch przy ścieżce”. Otuś się chyba tym najwięcej martwił i przynosił mi czasem późno w nocy proszki od bólu głowy od sąsiadów. To były chyba wszystko skutki przeżyć wojennych i ciężkiej pracy. Jak furtka skrzypnęła, to martwiałam z przerażenia. Wysiedlony lekarz Isterewicz kazał mi „plackiem” leżeć, mierzyć puls i zażywać jakieś lekarstwa. Cała ta „afeta” była przed świętami Wielkanocnymi, ja wtedy z łóżka dyrygowałam dziećmi - Lila mięsiła i piekła ciasto. Odpoczęłam - wyszłam z tego i często mi się potem zdawało że nie ma roboty której bym nie dało rady. A tej roboty miałam bo już na Chełmieckiej ulicy prawie bez przerwy oprócz naszych dzieci było początkowo 2 chłopców Heli a potem trzech. Naturalnie ani pralki, ani wody ani światła. Aby jakoś wiązać koniec z końcem dzierżawiłam kawałek pola u Bastowej - naszej mleczarki. Pobyt był urozmaicany przyjazdami Heli - najpierw z dziećmi a potem do dzieci. Pamiętam że na jedno święto już wcześniej zaczęłam składać mąkę i cukier i wypiekiem wtedy ciasta z 30 kg mąki. Wcale nie było dużo dla 6-ściorga

dzieci. Iwonka urodziła się dopiero 30-X 1949 r. Dziewczętom, względnie Lili szyłam płaszcze z koców. Jedna wigilia była z barszczem z mydłem. W zimie kuchnię prowadziło się w jednym pokoju. Kuchenka żelazna prowizoryczna, jeden stół obsiadały dzieci, lampa naftowa, ciemna. Położyłam w pośpiechu chochelkę na mydle które się do niej przyczepiło i wypadało do barszczu. Ryby na święta było u nas zawsze dużo - była to najtańsza „dunajcówka”. Do wigilii zasiadaliśmy na ławie, na łóżku na dwóch krzesłach, na skrzyniach. Tulu wyjmował kilka swoich pensetek do wyjmowania ości z ryb. Była zawsze kutia i strudel z jabłek.

Dzieci mi dużo pomagały - były dyzury tygodniowe, starsze musiały też nosić wodę rozpałały w piecu, zamiatały, były na posyłki.

30-X-1948 r. urodziła się Iwonka. Może to była reakcja po wojnie a może samoobrona przed zbliżającą się starością dosyć, że wszyscy cieszyłam z urodzin Iwonki. Wyszukiwałam Jej imiona w kalendarzu. Cała rodzina wiedziała, że u nas będzie dziecko. Były uroczyste chrzciny. Chrzestną została Hela a chrzestnym Olek - moje rodzeństwo. Dzieci chodziły do szkoły, wyjeżdżały na wakacje, ja zostawałam sama. Ciocie wyszukały Jej imię „Iwonka” i tak ją wołaliśmy i wołamy dotychczas. Dopiero przy zapisywaniu do szkoły dowiedziałam się naprawdę jak jej Tulu dał na imię : Urszula - Elżbieta. To Tula ukochana „Koszulka” jak Ją Tulu wołał. Przed urodzeniem Iwonki często chodziliśmy wspólnie do lasu chełmieckiego, czy na Klimkówkę - do lasów mojej młodości. Ogromnie lubię storczyki i jak je pierwszy raz po wojnie zobaczyłam w sądeckim lesie aż krzyczałam z radości. Jeździliśmy do Rytra, Głębokiego. To też miejsca do których jeździłam jeszcze za dziecinnych czasów. Ciężko było, roboty bardzo dużo, ale dom był przyjemny, uliczka cicha. Chowaliśmy psy, najpierw była „Ksenia”. Dzieci wybierały się do tej biblioteki i z krzykiem wpadły do domu, że Ksenia nie żyje. Ogromnie płakały - przejechało ją auto sowieckie. Drugim psem był wspaniały wilczur - Reks. Chodził się z nami kąpać, chodził na spacer. Koniec sielanki nastąpił gdy dom nasz kupił fryzjer Jurkowski. Znalazł się jakiś Żyd sukcesor i sprzedał dom. Od tej chwili Jurkowski stale nas nawiedzał. Zrywał po jabłka, składał jakieś rupiecie na podwórku. Poprawiał dach, aż wreszcie dał truciznę psu. Ratowaliśmy go. Byliśmy z nim u weterynarza, poili mlekiem i pies ozdrowiał. Jednak nie na długo bo jak mu drugi raz dogodził to już nic nie pomogło. Ten Jurkowski to gorzej niż bydle. Potem nas nachodził żebyśmy się z nim zamienili z mieszkaniem. Tak nas męczył, że wreszcie zdecydowaliśmy się. Myśmy mu

oddali zagospodarowany ogródek, czyste mieszkanie, a on mieszkanie zapluskwione, i straszne podwórko bo Jurkowski hodował świnię i krowę. Podwórze to było jedno gnojowisko. Mnie praca w ogrodzie po prostu porywała. Zasyпалиśmy gnojowisko, całe podwórko i ogródek przed domem skopaliśmy. Mieliśmy początkowo wszystkich warzyw pod dostatkiem, potem już było mniej bo rozrósł się jawor i duże jabłonki i zaciemniły część ogródka. Kwiatów było tak dużo, że jak nie było na chleb to Olek i Alek szli na rynek i sprzedawali je. Dalej jednak sytuacja materialna była ciężka, i dlatego kupowałam małe świnki, podchowywałam w piwnicy i po pewnym czasie wołałam masarza. Kazik i Lila byli już na studiach. Jak się prosiaka zamieniło na kiszki i kietbasę to i my i dzieci w Krakowie miały co jeść. Akuratnie jak Iwonka miała 6 lat skusiliśmy się jeszcze raz na pieska. Był to mały wilczurek jako kulka. Rósł też razem z dziećmi, był ich ulubieńcem, a szczególnie przepadała za nim Iwonka. Tragedia spotkała go już na obecnym mieszkaniu. Struli go. Ja z Tulem pojechałam na wycieczkę i Iwonka była sama w domu, okropnie to przeżyła. Nie chcę już żadnego psa ani kota. Szaruś ten kotek z Krzemieńca też zginął od trucizny. W ogóle ludzie sądecy są źli - wyrzucali nas z kolejek na żywność i wyrzucili nas z dwóch domów, potruli nam psy, wycięli nam to śliczne przez nas zasadzone drzewko, zasyprawali piaskiem kwiaty.

Do nas na stałe sprowadziła się Hela, razem z meblami - wyrzuciłam te kombinowane graty i już było jako-tako w domu ale za to straszna ciasnota w pierwszym roku na Helenie było nas 10 osób. Latem pół biedy bo ratował nas pokój na poddaszu, ale zima była okropna. Przy tym chroniczny brak pieniędzy, bo Hela początkowo pracowała jako intendentka w internacie i bardzo mało zarabiała. Tulu od rana do nocy uczył (miał okresami ponad 60 g. tygodniowo) ale to było wszystko za mało, szczególnie jak przychodziła jesień kiedy trzeba było zaopatrzyć dom w opał, w ziemniaki, kapustę, dzieciom buciki, płaszcze. Zwykle jak szłam do miasta przez most to płakałam, albo się modliłam aby znaleźć jakieś pieniądze albo żeby nam ktoś z Ameryki przysłał. Lila i Kazek już na studiach, Olek kończył liceum, Radek i Ania go dopędzali. Dzierżawiłam pole u Bastowej pod ziemniaki a raz nawet zasiałam pszenicę, ale miałam strasznie dużo z nią kłopotu. Prałyśmy i farbowały z Helą stare ciuchy i przerabiały na nowe. Wpadłyśmy wreszcie na pomysł i zaczęłyśmy haftować bluzki, sukienki, kołnierzyki. Tulu nam w tym pomagał bo rysował nowe wzory i odbijał. Lila też miała w tym swój udział. Haftowałyśmy czasem po całych nocach. Aby nie zasnąć

to latem haftowałyśmy przy otwartym oknie i słuchały przy tej okazji słowików.

Wreszcie Hela przeprowadziła się do własnego mieszkania, które z wielkim trudem otrzymała. Zabrała część mebli i wtedy wzięliśmy na raty jasny stołowy pokój. Strasznie się nim cieszyłam. Pianino Hela zostawiła ale chwilowo - grała na nim Iwonka i trochę Ania a nawet Lila jak przyjechała do Polski z Anglii. No ale i pianino nadszedł czas - bo zabrał go Kazek Unold. Mnie się zrobiło smutno bo od dzieciennych lat moim marzeniem było pianino. Skrzypce mię męczą jak je ktoś „piłuje”. Lubię orkiestrę skrzypcową. Fortepian lubię ogromnie tylko nie znoszę walenia w klawisze. Stawałam na głowie i kupiłam stare pianino za 11000 zł. Stoi to pianino bo Iwonka za domem a jak rzyjędzie to gra b mało. Lili nie ma. Otusia też. Ania daleko. Pianino ma sobie zabrać Iwonka. Takie było nasze szczęście – nasza dola, że nigdzie nie mogliśmy długo miejsca zagrzać no i domek na Helenie trzeba było opuścić. Ten domek był pęknięty rysa widoczna była na wylot, ale Borus miał tam budę, było tych kilka grządek. Nasz gospodarz sprzedał domek p.Wróblówniej. Kupiła go bardzo tanio i zaczęła nas prześladować abyśmy się przeprowadzili. Wnieśliśmy podanie do urzędu mieszkaniowego, do prywatnego domu nie chcieliśmy, zresztą dokąd? Komisje mieszkaniowe mówiły, że mamy wystarczający metraż, pisaliśmy stosy podań – daremnie, a tymczasem Wróblówna najpierw ścięła ten śliczny przeze mnie posadzony klon, potem przysypała piaskiem kwiatki w ogródku, zadarła w suterynach kawał sufitu, tak, że podłoga w pokoju obok kuchni leżała tylko na legarach coś przez duże zimy. Dymiły do tego piece, sadze wymiatałam dwa razy do roku. W mieszkaniu było tak zimno, że w zimie woda w kuchni stała zamarzała. Co mieliśmy robić?! Remontować? Za co? Komu? Jak Lila przyjechała z maleńkim Romusiem (drugi raz) to Wróblówna kazała wykopać dół obok domu rzekomo aby się przekonać o stanie fundamentów - baliśmy się aby Romuś tam nie wpadł. Po wyjeździe Lili wpadłam na pomysł aby nie bielić mieszkania nie zatykać szpar tynkiem tylko watą. Okropnie to wyglądało, Z trudem zawołałam sanitarną komisję w zimie, która uznała te warunki za nieludzkie, ale znowu komisja zwykła mieszkaniowa orzekła że te wszystkie „braki” są do usunięcia. „I tak w koło Panie Macieju”. Ta szarpanina okropnie mi obrzydła!! Wróblówna była zobowiązana dać nam mieszkaniu, ale to była w całym tego słowa znaczeniu ŚWINIA. Ta zamożna, samotna kobieta. Jak już nam przyznali mieszkanie to grosza nie chciała dać na wpłacenie kaucji

(6000 zł) na przewodzkę, za jabłonie posadzone przez nas. Myśmy się wtedy bardzo zadłużyli i ZNP i w ORS-ie (Obsługa Ratalnej Sprzedaży). Gdyby nie uczeń Tula - Furtek doszłyby jeszcze do tego koszty przewodzki. Był wielki kłopot ze stosami książek, gazet i innymi kłamorami których Tulu ani rusz nie chciał się pozbyć, a mieszkanie o pow. 46 metrów + mała piwniczka. Wpadłam na pomysł i za własne pieniądze za zgodą zarządu zagroziłam schowek pod schodami, teraz mamy dwie piwniczki, do jednej wpakowało się stosy książek i gazet, drugie służy za podręczny magazyn. Kto i kiedy będzie z tych gazet i starych książek korzystać? Woda, łazienka i kaloryfery to wspaniała rzecz ale za to otoczenie okropne kotłoch. Nasz blok w samym śródeczku. Nie ma balkonu — Ani godziny nie można się obejść bez zasłon wieczorem a w dzień bez firanek. Dym z kotłowni wali między blokami jak przez komin. Wydeptane trawniki, krzyki dzieci. W domku na Helenie to jak w nocy haftowałam przy otwartym oknie słyszałam śpiew słowików. Ja tęsknię za zielenią za grządką, męczy mnie na dodatek to, że Tulu bardzo źle się czuje szczególnie w zimie jak palą w kotłowniach i z powodu Biegonic. Jaki okropny błąd, niepowetowana wprost strata te Biegonice. Wybudowali tam fabrykę elektrod katodowych (odległość jakieś 4 km od Sącza). Piękna Ziemia Sądecka zadymiona, zaczadzona. Tłumaczą się, że głównym motywem było rozładowanie bezrobocia i cóż się okazało?! Niecałe 2000 ludzi zostało zatrudnionych. Bezrobocie dalej istnieje „Wysiedlili” setki gospodarzy, a ziemia urodzajna, piękna. Gdyby zamiast tej fabryki wybudowali np. kombinat wczasowo-turystyczny o ile większa byłaby korzyść. Ja wysadziłabym tę fabrykę w powietrze. W mieszkaniu kwiatki nie chcą rosnąć. Zresztą dziewczęta nasze twierdzą że kwiaty doniczkowe zagrzewają mieszkanie. Ja osobiście wyrzuciłabym połowę gratów i porobiłabym kraty metalowe, poprzegradzałabym mieszkanie i obwiesiłabym wszystko kwiatami. Muszę się postarać o skrzynki kwiatowe bodaj latem mieć kwiaty. No a jak się czuł biedny Borus! Ale psisko przynajmniej nas miało. Wychodziliśmy z nim na spacer. Nie chcę opisywać jak zginął! Dlaczego ludzie nie rozumieją że ludzie mogą kochać psa, kota! Zresztą to sądeccy ludzie! Aż mi wstyd że się tutaj urodziłam. Odnoszę wrażenie, że jakaś nas tak wyrzucali z domów, truli zwierzęta to i nas by potruli aby mieć więcej miejsca dla siebie. Nim myśmy się tutaj przeprowadzili to blisko przez dwa miesiące chodziłam codziennie i malowałam i czyściłam mieszkanie. Teraz meble coraz przesuwam bo

chcę trochę urozmaicenia wprowadzić do więzienia. Będą wprowadzili gaz i nowe wydatki. Teraz jak to Lili przepisuję gaz już jest kosztował około 10 000 zł. jest wygoda ale rozprowadzenie go kosztowało ogromnie dużo zdrowia i energii bo robotnicy partaczą, piją i żądają łapówek.

Nie napisałam nic o powodziach na Helenie. Jedną powódź przeżyliśmy na Chełmieckiej. Woda zalała ulicę, ogródek, wdarła się tylko pod próg. Ja zabrałam dzieci i poszłam do krewnego na „Paścią Górę”. Ten krewniak (już nie żyje) był gajowym. Stamtąd oglądaliśmy powódź, tam jedliśmy wspaniałą sarninę (wolę nie myśleć o ustrzelonej sarence). Dwie powodzie i kilka alarmów powodziowych przeżyliśmy na drugim mieszkaniu a że domek miał suteryny no to zawsze były one zalewane prawie pod sufity. W czasie jednej powodzi Ania nie zdążyła wyjechać na praktykę bo woda pozrywała linie kolejowe i wróciła do domu z walizką na ramieniu brnąc przez uliczkę blisko po pas w wodzie. Chłopcy jeździli na wannie i balii po uliczce. Jak woda opadła to trzeba było wynosić tony mułu z suteryn. U nas to i tak jeszcze strasznie nie było. Widziałam z toru kolejowego domy nad Dunajcem zalane szumiącą, mętną wodą aż po dachy. Ludzi wywozili żołnierze na pontonach. Czekali na powrót do swych domów w gminie której budynek stał przy głównej drodze (teraz tam są prywatne mieszkania). U nas też zainstalowała się rodzina Lupów. Jak lał przez kilka dni z rzędu deszcz, to już był alarm. Przynosiło się z dołu zapas węgla, wynosiło na górę wszystko drzewo. Nazwoziło się ze studni wody do picia, kupowałam chleb i cukier, ziemniaki i czekało się na powódź. Wychodziliśmy w deszczowcach patrzeć jak wody przybywa v Dunajcu. W domu było wilgotno i „nastrojowo”. Iwonka bardzo się bała, i całą noc dopytywała się ile wody ubyło a było wręcz odwrotnie – wody przybywało. Tutaj nie ma powodzi, ale jest prawie codziennie powódź dymu.

Sądecy ludzie.

Jest gadka, że w dawnych czasach gdy Sądeczanie wrócili się do Starosądeczan (miastko w odległości 7 km od Sącza) z prośbą o pożyczenie szubienicy to odmówiono im, mówiąc, że mają ją dla siebie i swoich dzieci. To jest wogóle mentalność tutejszych ludzi. Zaraz po wojnie zgłosiłam się w inspektoracie z prośbą o pracę w Nowym Sączu. Odmówiono mi i dawano na wsi. Tulu uczył w liceum, dzieci chodziły do

liceum, komunikacji nie było. Drogi okropne. Mieszkać na wsi z młodszymi dziećmi i dwa domy prowadzić?! Musiałam więc zrezygnować i musieliśmy żyć z jednych marnych poborów Tula. W Sączu pracowali sami swoi. Tulu też by chyba nie dostał pracy ale zaczął ją już w styczniu 1946 r. a sił z wyższym wykształceniem było brak.

Dopiero za wielką protekcją (nasz sąsiad Janas był inspektorem) dostałam w 58 r. pracę w Biczycach, był to kontrakt. Autobusy już jeździły, zresztą ja ile się tylko dało dojeżdżałam rowerem. Zapał mój nie miał granic, ja za tą pracą tęskniłam całymi latami. Uczyłam się też sama bo przez lata „bezrobocia” zapomniałam wiele rzeczy przy czarnej robocie. W Biczycach urządzałam przedstawienia, wycieczki, miałam dobre wyniki i to się może przyczyniło, że dostałam pracę w Chełmcu i już etat. W Chełmcu to była charówka! Co roku malowałam ławki, drzwi, okna, zakładałam ogródki, akwaria kupowałam za własne pieniądze pomoce szczególnie do historii. Urządzałam przedstawienia (do jednego przedstawienia dekoracje i projekty strojów zrobiła mi Lila która akuratnie przyjechała wtedy z Anglii). To przedstawienie aż w prasie się znalazło. Na przedstawieniu a właściwie inscenizacji poezji M. Konopnickiej, starzy ludzie płakali, nawet nauczyciele. Czytałam dzieciom „od deski do deski” Pana Tadeusza, Sienkiewicza, wreszcie budowałam szkołę. Tam wcześniej czy później musiała być wybudowana szkoła, ale moje głównie starania przyspieszyły budowę o ładnych kilka lat. Warunki tam były okropne. Dzieci były stłoczone w dawnym C K austriackim budynku przy skrzyżowaniu dróg. Jak przejeżdżały auta to sufity się trzęsły, aż raz nastąpiła awaria, groziło całkowitym zawaleniem jednego sufitu. Wyłączono nam duże klasy na piętrze i 2 na parterze. Ażeby dostać jakieś dodatkowe izby trzeba było urządzić marsz z dziećmi do Prez. Pow. Rady Narod. ja się klóciłam, byłam inicjatorką. Przylecieli z partii i dali nam wreszcie klucze do starego trzyizbowego spichlerza. Jedna klasa miała tylko jedno okno. Dzieci ślepy. Ja porobiłam zdjęcia tych „obiektów” i opisawszy wiernie warunki (spotkanie z władzami odbyło się wieczorem w Remizie więc i tak nikt by się nie pofatygował do szkoły) i poparłam swoje słowa zdjęciami które wręczyłam władzom. Szkoda, że nie zostawiłam sobie na pamiątkę. Po tym spotkaniu zawiązał się Komitet Budowy Szkoły a ja sama postawiłam swoją kandydaturę na sekretarza. Cała rodzina pomagała mi w redagowaniu różnych pism. Bardzo dużo pomógł mi Otuś który z racji pełnienia funkcji referenta działu planowania przestrzennego znał plany rozbudowy

Chełmca i t.p. Było wielu przeciwników budowy nowej szkoły, różnych intryg i przeciwności nie spisałyby nawet na wołowej skórze, ale wreszcie zatwierdzono budowę szkoły i jeszcze tego samego roku przystąpiono do stawiania fundamentów. Do roku wybudowano piękną 12 izbrową szkołę. Mnie jednak takie obrzydzenie ogarnęło do tych ludzi, że przeniostałam się do N.Śacza. Pracę otrzymałam w szkole Podstawowej Nr 13 - Cwiczeń. Jest to awans, ale pracy też ogromnie dużo i ciężkie warunki lokalowe.

Jak już jestem przy tej sprawie to dodam jeszcze moje przejście na emeryturę. Nie było ono mimo 64 lat dobrowolne. Dali mi na siłę bo ja się dobrze czułam i zawód nauczycielski to moja pasja życiowa. W przewidywaniu zwolnienia mię wniosłam podanie do inspektoratu i kuratorium z prośbą o dalsze zatrudnienie mię. Nic nie pomogło. Przepisuję tu swoje podanie

*Kuratorium Okręgu Szkolnego
Krakowskiego w Krakowie.*

W dniu 29 maja 1972 r. otrzymałam z Wydziału Oświaty w N. Śaczu pismo zawiadamiające mię o przeniesieniu mnie na emeryturę.

Niniejszym wnoszę od tej decyzji odwołanie z następujących powodów:

Zaczęłam przepisywać to podanie i zrezygnowałam. Guzik! Zwolnili mię koniec, kropka. Jedno jeszcze tylko na ten temat. Jak broniłam się jak lew przed pójściem na emeryturę, jedna z naucz. mi powiedziała: „Trudno przychodzi wiek i trzeba odejść. Kolarzom jak tylko stuknie 60 muszą bezwzględnie odejść.” Oburzyłam się na takie porównanie i powiedziałam że jak pisarzowi stuknie 60 to mu nie wolno pisać, poecie tworzyć, malarzowi malować.

Wywalczyłam przynajmniej tyle, że jak stosunkowo za krótki okres bo tylko 21 lat pracy otrzymywałam nie wiele mniejszą niż Tulu emeryturę. Tulu ma 2420 zł – ja 2379 zł. Może mi się jeszcze teraz uda czas poświęcić nie tyle dzieciom ile bodaj wnukom! Dzieci i ja! Lila miała 6 latek, Otuś zaledwie 2 jak się wojna zaczęła. Ania urodziła się z początkiem wojny, Iwonka w krótkim czasie po wojnie i mój cały wysiłek był przede wszystkim skierowany nie tyle na wychowanie ile na utrzymanie dzieci przy życiu. Gdy już się sytuacja zaczęła poprawiać to zasadniczo dzieci już wydorosłały i

zaczęły po kolei dom opuszczać. Nie miałam kiedy w zorganizowany przemyślany sposób ich wychowywać, zresztą dzieci zdawały mi się taką moją częścią, po prostu całością moją, że często łapałam się na tym jakby były razem ze mną od moich najmłodszych lat, że czują i myślą tak jak ja. Ojciec mój wpisał mi do takiej księgi - pamiętnika m.p. „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg dobro daje” „Prawdomównością przejdiesz świat” „Miłość Ojczyzny i honor to najważniejsze dobro” i t.p. Czytałam Rodziewiczówną, Kraszewskiego, Sienkiewicza, Mickiewicza, Słowackiego, Konopnicką. Ideały tych pisarzy stały się moimi ideałami. Głupia byłam i jestem głupia, chociaż tak zwana uczciwa. Napisałam wiele rzeczy dziejących się już po wojnie, no ale to są no skutki wojny.

Chciałabym jeszcze napisać dużo o dzieciach, o ich latach młodości, o studiach i życiu jako ludzi dorosłych. Jedną to rzecz niedającą się zmienić to ta, że ich troski, ich życie wywołuje we mnie stałą obawę, często sen mi spędzają z oczu. Chociaż mi wiele rzeczy cieszy, chociaż bym chciała bodaj wyhaftować trochę ładnych rzeczy, bo tak właściwie tyle tylko umię (grać nie umię, malować nie umię) to w rezultacie wołałabym już umrzeć aby przestać się wiecznie obawiać i martwić o dzieci.

[Wymazany prawie nieczytelny lament o dzieciach]

Wzięliśmy ... działkę aby jakoś trzymać się. Dzieci nasze są dobre, ale trochę oschłe i nie lubią nawet tego aby się na Nie popatrzeć a już dotknąć to uchowaj Boże. Powiedzieć coś serdecznego też nie można. Chodzę tak jak głupia i udaję, że są mi obojętne, że wszystko w porządku, to co teraz piszę też będzie krytykowane i źle przyjęte. Lila mi raz tak powiedziała, że w Anglii wogóle na zachodzie jak tylko dzieci podrastają to się rozchodzą z rodzicami i prawie się sobą nie interesują. Czy to się tak da? Ja wiem, że nie jeden raz błąd popełniłam we wzajemnych stosunkach ale nigdy nie robiłam czegoś złego z premedytacją. Czy ja wiem – może Otuś nie będzie się bardzo dziećmi przejmował, ale nie wiem czy Lili będzie obojętne jak układa sobie życie Romuś. Ja wiem Liluś, że nie tylko tysiące km przemierzasz aby być w Polsce, ale żeby i nas widzieć. Daruj że czasem w gniewie głupstwo palnęłam, każdego słowa złego żałowałam i żałuję. Żałuję że oglądam telewizję gdy Wy jesteście, robię to z premedytacją, że to niby

nic jak Wy już wnet wyjedziecie. I znowu bym chciała przespać ten czas aby się nie obawiać złej przygody w czasie Waszej podróży. Tatowi jest tysiąc razy lepiej bo niby fatalista a jest tysiąc razy większym optymistą niż ja. Jak byłaś Lilusiu małą a lekarz stwierdził powiększone gruczoły wędkowe u Ciebie to jak tylko wyszłam na ulicę to płakałam z obawy o Ciebie. To ja jestem taki strachoput. Ja wiem, że dla Ciebie Lilu każdy przyjazd do Polski jest połączony z rozczarowaniem. Jak się tęskni to wszystko się idealizuje a tu my się oboje z Tatą starzejemy a z wiekiem przybywa nam wiele różnych zwyczajów, wad, niemiłych zmian w wyglądzie w poruszaniu się. No cóż młodość ma swoje prawa a starość nie może mieć?

Przy końcu napisałam trochę „głupstw” i dlatego głównie się ociągałam z oddaniem tego „pamiętnika” i miałam ochotę ostatnie kartki wyciąć ale masz go Lilu.

Mama.

7-X-1973r. - Warszawa.